

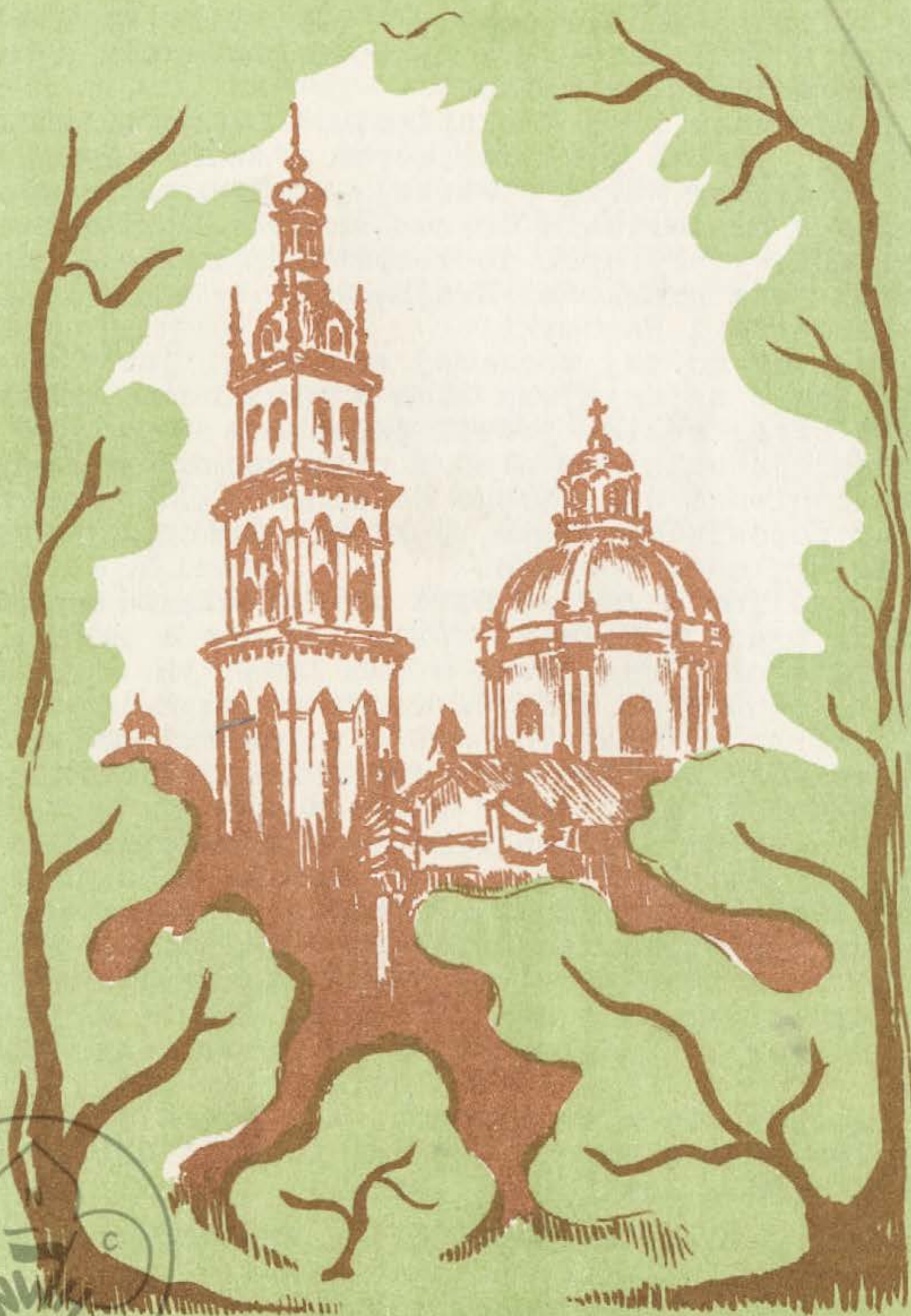
OGNIWA

piśmo drzewozat

ROK V.

LISTOPAD 1953

Nr.11 (50).



archiwum

Prześladowanie Kościoła w Polsce

Obecnie w Kraju, rząd komunistyczny rozpoczął walkę z Kościołem katolickim. Aresztowano szereg biskupów polskich a w końcu września b.r. aresztowano ks. Prymasa Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Na wieść o tym, Ojciec Święty ogłosił klątwę ekskomuniki na wszystkich, którzy w aresztowaniu brali udział. Pan Prezydent Rzeczypospolitej August Zaleski wydał orędzie do Polaków w Kraju, wzywając do zachowania spokoju, i zapewnił, że Rząd Rzplitej uczyni wszystko, by wolnemu światu ujawnić zbrodnię dokonaną w Polsce.

Kiedy więc Kraj w skupieniu i rozwadze musi przetrwać, na nas przebywających w wolnym świecie spada obowiązek walki otwartej. Jak ta walka ma wyglądać w odniesieniu do nas samych? Władze naczelne ZHP wydały apel do wszystkich harcerek i harcerzy poza granicami Kraju;

Harcerze i Harcerki!

Wszyscy do tej toczącej się walki jesteśmy wezwani. Nawet najmniejszy zuch w niej uczestniczy i uczestniczyć będzie, jeżeli świadomie wzbudzi w sobie intencję walki ze złem i ofiarowywać ją będzie dla wzmocnienia walczącego Kościoła w Polsce. Staraj się sami dopowiedzieć sobie, jak ich służba, ich walka ze złem wyglądać powinna.

Zacznijmy zaraz od dziś modlić się za prześladowanych braci w Polsce. Ofiarujmy nasze prace, całą naszą służbę harcerską w ich intencji. Pogłębiajmy życie osobiste. Codzień uczynmy coś w intencji tych, którzy poddani zostali najcięższej próbie, i dając świadectwo Prawdzie, muszą składać ofiarę ze swej wolności, a nieraz i życia.

Związek Harcerstwa Polskiego - zawsze wierna Kościołowi Katolickiemu, doświadczona w walce o Niepodległość - organizacja młodzieży, wzywa wszystkich swych członków, gdziekolwiek są i gdziekolwiek dotrze do nich nasz głos, aby skupili się wewnętrznie i zło przeciwstawili nasz idealizm, naszą służbę Bogu, Polsce i Bliźnim, którą przyrzekliśmy na całe życie.

Łączymy się w modlitwach, aby Bóg w nieskończonym Miłosierdziu Swym, zechciał skrócić dni grozy i nieszczęść w Kraju. Czuwaj!

J.Prokop, G.Sekretarz - N.Sulik, Przewodniczący ZHP

Redakcja Ogniw otrzymała od Pana Ministra dla Spraw Obywateli Polskich na Obczyźnie, Zygmunta Rusinka, pismo - z którego treścią dzieli się z Czytelniczkami:

MINISTERSTWO DLA SPRAW OBYWATELI POLSKICH

NA OBCZYŹNIE

42, Emperor's Gate,

London, S.W. 7.

Londyn, dnia 30.X.1953.

Szanowna i Droga Pani Redaktorko,

Dawno już zbierałem się, aby dołączyć swój głos do chóru zasłużonych pochwał, jakie zbierają OGNIWA, pismo, którego każdy numer czytam pilnie i z zainteresowaniem.

Wydaje mi się, że OGNIWA uczą wiele, ale jeszcze więcej wychowują; poszerzają horyzonty myślowe swych czytelniczek, ale i powiększają dusze, przyczyniając się do rozbudzenia jednego z najwspanialszych i najpotężniejszych uczuć, a mianowicie - miłości Ojczyzny.

Jakaż to Ojczyznę miłujemy?

Nasz kraj i naszą przeszłość; nasz naród i jego dorobek kulturalny; jego zalety i zdolność do pozbywania się wad; nasz dorobek polityczny w ciągu dziejów i naszą wspólną wiarę w niespożyte siły Rzeczypospolitej.

Nasza miłość jest szeroka, bo rozlewa się po wszystkich ziemiach, które znajdowały się w Państwie Polskim; jest głęboka, bo sięga w przeszłość i dąży ku przyszłości; jest wszechstronna, bo obejmuje narody, które zbudowały Rzeczpospolitą Polską.

Miłując tak, nie uznajemy żadnej innej formy istnienia dla narodu polskiego, jak tylko we własnym rzeczywiście niezależnym Państwie.

Mam nadzieję, że nie pobiłem i że właśnie tak OGNIWA piszą o Ojczyźnie i o miłości do Niej oraz, że czytelniczki podobnie jak ja rozumieją swe pismo.

Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia dla Redakcji i dla wszystkich Czytelniczek OGNIW.

Zygmunt Rusinek

Drogie Czytelniczki. Przeczytajcie uważnie list Ministra Zygmunta Rusinka. Zastanówcie się nad każdym słowem, które mówi o miłości Ojczyzny. Pomyślcie uważnie jak wy tę miłość rozumiecie i czy ją w duszy swej przechowujecie. Szczególnie serdecznie rozważcie to właśnie w listopadzie, w miesiącu, w którym dnia 11-go listopada 1918 r. Polska odzyskała Niepodległość.

Od tego czasu obchodzimy zawsze tę rocznicę uroczystie. W dniu tym, my - tu na emigracji - zwracamy się do Kraju z miłością, która staje się pomostem między nami, oddalonymi od Ojczyzny a Polską. Ta miłość niech nigdy w nas nie zgaśnie i pozwoli podjąć każdy trud na drodze do odzyskania NIEPODLEGŁOŚCI.

Cnoty

Trzy są cnoty, o tym wiedz,
Które trzeba w sercu strzec.

Pierwsza - wiary silnie broń,
Wiary, w Polski trwały byt;
Że ją dźwignie Boża dłoń,
Że i dla niej błysnie świt!

Druga, w doli gorzkiej, złej,
Od upadku strzeże cię;
Zdrój pociechy płynie z niej,
A Nadzieją zowie się!

Trzecia, Miłość, której siew
W serca rzucił niebios Pan,
Która każe własną krew,
Za ojczysty przelać łan!

Te są cnoty, o tym wiedz,
Któreś winien w sercu strzec!

Władysław Bełza

-4-

U kolebki Harcerstwa Polskiego

Redakcja OGNIW zwróciła się do jednego z uczestników pierwszych poczynań organizacyjnych Harcerstwa Polskiego we Lwowie, pod przewodnictwem Andrzeja Małkowskiego - z prośbą o napisanie swych wspomnień. Pierwszą ich część zamieszczamy poniżej.

Lwów, kwiecień 1911. Na trzy lata przed pierwszą wojną światową... Jakież to dawne dzieje, z perspektywy czterdziestu paru lat, w czasie których świat zmienił się do niepoznania!

Lwów... Niespożyte, kochane miasto, zawsze wierne i czujne i zawsze młode! Pełne wtedy bujności, gotowe na wszystko, rozbudowujące się wspaniale, rosące w oczach, a jednocześnie świadome swej bujnej roli, rzecz można: wylęgarni niepodległości. Wyprawiając się z niewoli rozbiorów na wszystkie boki. Lwów - macierz Sokoła i jego Drużyn Polowych, a przedtem jeszcze grupy "Odrodzeńców", "Związku Walki Czynnej" Drużyn Strzeleckich i Drużyn Bartoszewskich, współpracujący z Krakowem w organizacji Związku Strzeleckiego. Wreszcie Lwów - załóżnia Harcerstwa Polskiego.

To ostatnie nazywało się jeszcze wtedy z angielska Skautingiem. Przyszło z Anglii nowe i dziwne, świeże i porywające. Nazwy harcerze i harcerstwo ukuł, a raczej wskrzesił i zastosował do skautingu, bodaj jako pierwszy prof.dr. Eugeniusz Piasecki, wydając około roku 1912 książkę programową pt. "Harce Polskie". Jeszcze jednak do wybuchu wojny 1914 - 1918 oficjalny organ harcerski, pismo wydawane we Lwowie, nosiło miano: "Skaut".

Jako się rzekło tedy na wstępie: był kwiecień tysiąc dziewięćset jedenastego roku. Jako szesnastoletni chłopak byłem wtedy uczniem jednej z lwowskich prywatnych szkół średnich.

Pewnego dnia podeszło do mnie dwóch bliskich kolegów, z bardzo tajemniczymi minami, mówiąc że tworzą jakieś drużyny młodzieży w wieku szkolnym, ćwiczące w podlwowskich lasach i że trzeba się do nich zaciągnąć i to duchem!

Grunt to kapelusz, odwijany z jednego boku i podpięty rozetką białą-czerwoną z orzełkiem, - no i kij długi, ciężki, ale ważny! Wreszcie sweter, a

-5-



reszta umundurowania z czasem. Zaopatrzony kolejno w to wszystko, zgłosiłem się z miejsca.

Pamiętam pierwsze me ćwiczenie w lesie koło Winnik pod Lwowem. Drzewa były dopiero w pączkach. Przedwiośnie w nas i dokoła nas. Nastrój był tajemniczy, pełen oczekiwań i przeczuć, uroczysty a razem po wiosennemu swobodny i radosny. Na wstępie jakieś ślubowanie, dotąd nieznanne i jakiś w nim powiew idei, przeczucie pogodnej, a pożytecznej gotowości...

Moją bezpośrednią "władzą", jako zastępowy, był serdeczny kolega Wilek Rückemann (późniejszy generał W.Orlik-Rückemann), jego zastępcą zaś najszczerzy przyjaciel mój Kazik Krzyczkowski (w cztery lata później poległ on bohatersko w bojach 6.Pułku Legionów pod Kuklami). Oni to obaj właśnie wciągnęli mnie do szeregów harcerskich.

Oprócz ćwiczeń w terenie, wieczorami, w Sokole

Macierzy zaczęły się wykłady, na które chodziliśmy z rosnącym wciąż - zapalem. Prowadził je druh Andrzej Małkowski. Znając język angielski miał on powierzone sobie przetłumaczenie podstawowej książki gen. Baden Powell'a, twórcy Skautingu (ur.1857 - zm.1941). Pamiętajmy, że Baden Powell, bohater walk angielsko-burskich i obrony twierdzy Mafeking w Pd. Afryce, (około r.1900) założył Skauting angielski dopiero na niecałe trzy lata przed momentem, jaki opisuję, bo w r.1908. Jego zaś siostra Agnes od roku dopiero (1910) zapoczątkowała ten ruch wśród dziewcząt angielskich. Czyli, że Lwów, a za nim cała Polska, był bardzo szybki w przyswajaniu sobie tego, co najlepsze, z dalekiej zagranicy.

Owóż dh.Małkowski, w miarę, jak książkę Baden Powell'a "Scouting for Boys" tłumaczył, czytał nam owo tłumaczenie z rękopisu, a my, a było nas wtedy kilkudziesięciu, a może ponad stu chłopców, słuchaliśmy go z zapartym oddechem, notując co ważniejsze. Gdy wkrótce książka ta wyszła jako całość, po polsku, została w mig rozchwyтана.

Andrzej Małkowski, wówczas młody słuchacz uniwersytetu, miał w sobie coś, co mu zjednało od razu nasze serca i młode umysły, stęsknione do ideału wo-

dza. Pięknej, słusznej choć nieco krępej postawy twarz miał pogodną o bardzo regularnych rysach. Miły uśmiech spod miękkiego, jasnego wąsika. Jasne ale stanowcze spojrzenie, głęboko osadzonych niebieskich oczu. Czoło wysokie, myślące. Włosy ciemnoblonde, miękkie, o połysku złotawym, lekkimi płaskimi falami układające się na pięknie sklepionej głowie, osadzonej na dość krótkim karku i młodych, silnych barkach. Właściwie postać dobra do rzeźby. Dla nas miał coś z Napoleona. Loczek opadający na czoło wrazenie to powiększał jeszcze. Głos miał miękki, raczej wysoki, ale sposób wyrzucania słów czy krótkich, zwięzłych zdań, brzmiał wybitnie rozkazodawczo, choć czasami tajemniczo. Miał w wyrazie oczu, patrzących smugami i w całej swej postaci coś, co działało na nas magicznie. Jakiś dziwny fluid duchowy szedł od niego. Był wymarzoną uosobieniem młodej idei, jaką nam udostępniał i którą nas przepajał. Był uprzejmy, a jednak umiał zachować dystans. Jakież on inny był od znacznych druhów, z nim wtedy współpracujących. Mogli być najlepsi, zasłużeni i niestrudzeni, żaden z nich jednak nie był porywający. Nie miał wokół siebie, jak Małkowski, wciąż rosnącego legendarnego nimbu.

Dziwnie podobne było oddziaływanie na młodzież w krótki czas potem, pierwszej organizatorki harcerstwa żeńskiego we Lwowie, Druhny Olgi Drahonowskiej, późniejszej małżonki Andrzeja Małkowskiego. Miała ona coś sokolego w spojrzeniu czarnych oczu spod rozkazująco zarysowanych, czarnych brwi. Wywierała podobnie magiczny wpływ na swe podkomendne i miała podobną, wrodzoną umiejętność zachowania dystansu, koniecznego dla wyrobienia posłuchu w służbie namiętnie umiłowanej idei. Widywałem ich później i parokrotnie odwiedzałem, jako młode małżeństwo. Trudno było o lepiej i ładniej dobraną parę.

Po kilku miesiącach trwania kursu, w czasie którego podał nam druh Małkowski całą treść książki Baden Powell'a - rozjechaliśmy się na wakacje. Przez następny rok szkolny 1911-12, przygotowywałem się do matury w szkole realnej, jako eksternista. Pracując bardzo intensywnie musiałem, choć z żalem, przerwać na ten rok czynny udział w pracach i ćwiczeniach harcerskich. Dopiero zdawszy maturę w czerwcu 1912 r. byłem przez miesiąc sierpień te-

goź roku na wielkim kursie sokolo-harcerskim w Skolem w Karpatach.

Obszerna polana, wśród pachnącego jodłowego lasu, u stóp prześlicznych lesistych gór. Namioty, pierwsze ćwiczenia z karabinami, kursy instruktor-skie, wykłady - jakież to wszystko miało urok, gdy odbywało się po raz pierwszy w Polsce, dawniej nie znane naszemu pokoleniu.

Małkowski prowadził ćwiczenia harcerskie i był sercem kursu. Byliśmy już wszyscy umundurowani. Kurs prowadzono na wysokim poziomie. Naczelnik Okręgu Lwowskiego Sokoła, a później całego Sokolstwa Małopolskiego - dr. Wyrzykowski - był dowódcą całości. Profesor Uniwersytetu Lwowskiego, dr. Panek - wykładał higienę i ratownictwo, druh Ignacy Kozielewski miał pogadanki ideowe wieczorami przy ognisku. Druh dr. Wyrobek z Krakowa po mistrzowsku uczył prowadzenia gier i zabaw. Prócz tego mieliśmy innych wybitnych instruktorów terenoznawstwa, musztry formalnej, gimnastyki i ćwiczeń fizycznych oraz obozowania. Na krótko pojawił się też i przeprowadził z nami ćwiczenia delegowany przez Związek Strzelecki, młodziutki oficer, Janusz Gąsiorowski (późniejszy generał i Szef Sztabu Wojsk Polskich). Jego ostra komenda: "baczość!" - podrywała nas wszystkich, jak uderzenie iskry elektrycznej.

Pod koniec kursu zjawił się o wieczorze na naszej polanie, w czasie jednego z ćwiczeń czy pokazów - gość dotąd niewidziany. Ubrany po cywilnemu, pan w średnim wieku, raczej szczupły, brunet o bladej twarzy, z małą czarną bródką. Stojąc na skraju polany w zapadającym mroku zaczął ze mną uprzejmie rozmowę, ponieważ stałem najbliżej. Wyczułem, że to ktoś ważny i ciekawy. Przedstawiłem się. Okazało się, że znał mojego ojca. Był to ówczesny emerytowany kapitan artylerii austriackiej - Józef Haller, późniejszy "błękitny" generał... Jeżdżąc w charakterze inspektora Kólek - jak się wyraził: "rzemien-



-8-

nym dyszlem" po kraju, wykorzystywał tę rolę, aby przygotować organizację Drużyn Polowych Sokoła i był również współorganizatorem naszego obozu i kursu.

Gdy kurs dobiegł końca, na zaproszenie moich ciotecznych braterstwa Wacława i Maryli Wolskich, spędziłem kilka niezapomnianych dni w ich oszarżanej wiekiem willi "Storożce" w Skolem, pamiętającej jeszcze przyjacielskie odwiedziny wielkiego poety, Kornela Ujejskiego, który tam chyba pół wieku temu, ponoć z zapałem w "kiczkę" grywał... Cała rodzina Wolskich bawiła tu wtedy na wywczasach, wraz z babcią, panią Wandą Młodnicką, matką Maryli Wolskiej - poetki. Córki Maryli i Wacława Wolskich były wówczas małymi dziewczynkami, starsza Beata, później zameżna Obertyńska - poetka i młodsza Lela, późniejsza Pawlikowska - malarka. Z ich trzema braćmi codziennie kąpałem się w szumiącym, szmaragdowym Oporze, płynącym u stóp "Storożki", a potem całą gromadką chodziliśmy na wycieczki. Do dziś pamiętam rozkoszny smak górskich poziomek i malin, dojrzewających w sierpniowym słońcu.

Ale, po zasłużonym parodniowym wypoczynku, trzeba było wracać do Lwowa, w poczuciu uzyskanej dobrej zaprawy sokolo-harcerskiej i naglącej chęci jej wykorzystania.

K. N.

Proszy drzymka

Tak już późno... Takam śpiąca!
Miał Król Cwieczek córki dwie -
W samym środku bajki tkwię.
Znam początek - nie wiem końca.
Coś splątało mi się wspak,
Poszło na dno w pas kilimka -
Nie pamiętam co i jak...

Ze ścian, złotem prószy drzymka...
Nocą pachnie... Dzienny skwar
Nagrzał deski ciepłem swoim,
Kolorowe się ze szpar
Krasnoludki syją rojem...
Z półek, stołów, okien, dziur,
Tłumik ciśnie się maleńki,
Na Cwieczkowy patrzą dwór
Oslupiałe w deskach sęki...

Maryla Wolska



-9-

O autorze Orleat

Gdy siadłem by pisać o Arturze, nagle przez otwarte okno wleciał jesienny motyl i trzepocząc skrzydłem, usiadł tuż przede mną. Pomyślałem sobie widocznie Artur musi wiedzieć, że chcę o nim pisać i przysłał mi swego posła o skrzydłach wielobarwnych.

Artur Schroeder był bowiem zaprzysiężonym członkiem tego grona tęczy motyli i ptaków, których urodziły lata przed burzą 1914 roku. W tym gronie szumnym a górnym, działał Przybyszewski, rósł Kasproicz, rysował Sichulski, malował Wyczółkowski i Fałat, tworzył swe liryki Tetmajer, zaś panował Wyspiański z Malczewskim.

Centrem życia był naprzemian Lwów albo Kraków, gdyż spośród wszystkich dzielnic Polski porozbiorowej tylko w Małopolsce, czyli ówczesnej Galicji, Polacy mieli pełne swobody, wolność pisania, tworzenia i marzenia, przede wszystkim o przyszłej Polsce. O Polsce Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Norwida. O Polsce, przewodniczące dusz...

Było to jakby sprzysiężenie artystów, choć nieujęte w organizacyjne formy, to jednak potężne i władne, bowiem gardziło pieniędzmi i sprawami poziomymi. To sprzysiężenie miało tylko jedno prawo - także niepisane, lecz nie mniej niezłomne: można umrzeć z głodu, ale nie wolno dla zysku zdradzić zasad harmonii i piękna, zdradzić Prawdy, której na imię - Sztuka. Sztuka zaś była Polską, Polska natomiast - najwyższym wyrazem Sztuki.

Nie było wówczas kin, nie było hałaśliwej muzyki, ani dancinów, był natomiast dobry teatr dramatyczny, dobry wiersz, dobra książka i tym żyło całe społeczeństwo. Artysta stał w tym społeczeństwie, jak w społeczeństwie Greków - na najwyższym szczyblu i on dyktował prawa. Był przecież motylem, którego barwy wiązane ręką Boga, ozdabiały świat i życie. Czymże bowiem byłoby życie bez nich? Ciemną dżunglą lwów i tygrysów, rekinów i sępów, tym właśnie, czym stało się dzisiaj, zdradziwszy motyle.

Dlatego właśnie barwami delikatnych skrzydeł wierszy, budowano miłość dla Polski i jej Odrodzenia w formie tak pięknej i czystej, by stała się państwem najpiękniejszych światła i najbardziej

wspaniałych kolorów, wcieleniem wszelkiej harmonii i wszelakiego dobra, dla radości serc ludzkich.

Przyszła burza, godzina wybiła. Rok 1914! Ci z artystów, którzy dożyli lub byli jeszcze dostatecznie młodzi, rzucili paletę i pióra: czas na czyn, mówił przecie Wyspiański. Wzięli więc w rękę karabiny i poszli bić się o najwyższe ideały życia.

Artur Schroeder znalazł się między nimi. Przeszedł przez Legiony, przeszedł ich dołę i nie dołę. Rok 1918 zastał go we Lwowie. Dnia 1-go listopada Ukraińcy zajęli Lwów podstępnie, przemocą. Kilkunastu Legionistów i dzieci zamknęło się w szkole im. Sienkiewicza na Gródeckim i zaczęło walkę. Ponieważ dorośli byli jeszcze rozsypani po wszystkich frontach świata, więc zaczęły walczyć dzieci pod dowództwem niewiele od siebie starszych oficerów.

W trzy dni później, mimo, że po stronie nieprzyjaciela były pułki bitne, w bojach doświadczone, zaopatrzone bogato w broń i amunicję, po stronie zaś polskiej kilka karabinów i pistoletów, polowa Lwowa została oczyszczona, i ta garstka dzieci broniła się jeszcze trzy tygodnie, aż do czasu przyścia odsieczy z Krakowa.

Artur, członek tej pierwszej załogi Szkoły Sienkiewicza, w dzień bił się w jednym szeregu ze swymi młodocianymi towarzyszami broni, w nocy redagował pismo Obrońców Lwowa "Placówka", które przetrwało kilka dobrych lat.

W roku 1920, Lwów znalazł się znów w niebezpieczeństwie. Pod jego rogatki podeszła sowiecka konna armia Budiennego. Kto żyw chwycił za karabin. Artur z miejsca rzucił pracę dziennikarską i dołączył do oddziału Abrahama, oddziału sławnych szaleńców i straceńców, złożonego wyłącznie z byłych listopadowych Obrońców Lwowa. Oddział ten został napadnięty i dosłownie wyrznięty w pień przez kozaków. Uratowało się - i to przypadkiem, tylko trzech. Między nimi i Artur Schroeder. Lecz ciężko poraniony - został na całe życie kaleką.

Po wyleczeniu z ran, podejmuje znów pracę pisarską. W tych latach wyszła jego książka pt. "Orleat", której wyjątki niżej podajemy. Doczekała się - choć niewielka - wielu wydań i to nie tylko w języku polskim. Tłumaczono ją na język francuski, szwedzki, niemiecki, nawet na japoński. Dzięki tej

książce chwała lwowskiego dziecka dotarła do serc dzieci wielu narodów.

Mieczysław Lisiewicz

P. Mieczysław Lisiewicz jest autorem książki znanej dobrze młodzieży. Książka nosi tytuł: "Trop nad jeziorem".

Orleńta

(Wstęp i jedno z opowiadań z książki Artura Schroedera pt. "Orleńta").

Kochany Mały Obywatelu!

Listopad 1918. W chwili gdy inwazja nieprzyjacielska ogarnęła Lwów, siedziałeś jeszcze w ławce szkolnej, pochylony nad książkami.

Nieraz marzyły Ci się heroiczne czyny Kmicica, Wołodyjowskiego i Podbiptę, marzyłeś o czynach Księcia Józefa Poniatowskiego, Kozietulskiego, Sułkowskiego, Sowińskiego, o bohaterach Powstania 1863 roku, przy boku których walczyli Twoi przodkowie; marzyłeś również o niedawnych przeżyciach wojennych Twego ojca i starszych braci, w Legionach.

Wówczas serce Twoje było mocniej i wyciągałeś przed siebie ramionka żadne akcji bojowej. Jednak byłeś jeszcze za mały i za słaby, w każdym razie tak mawiano.

I oto nadszedł dzień, kiedy stary Lwów, miasto drogie sercu Twemu, miasto z taką dumą noszące miano "Strażnicy Krescwej", zostało napadnięte i okupowane przez wroga. Oczy Twoje z przerażeniem spoglądały na okrucieństwo... I tego dnia stałeś się dorosłym. Serce zatrzepotało Ci się w piersi, zacisnąłeś małe jeszcze pięści; wspomnienie Częstochowy, Zbaraża, Kamieńca sił ci dodało. Przeszłość zawołała na Ciebie wielkim głosem; zrozumiałeś, że jesteś obywatelem Rzeczypospolitej i postanowiłeś bronić do ostatka świętej dla Ciebie polaci ziemi.



Nie tak dawno jeszcze sam bałeś się wejść do ciemnego pokoju, bałeś się złych stopni szkolnych "pana profesora"; lubiłeś zacisze pokoju ogrzanego, otulałeś się futerkiem płaszczyka - zawsze żądny słodczy.

Nagle o wszystkim zapomniałeś i jeden z pierwszych ruszyłeś do boju prawdziwego.

Z początku gołymi rękami, potem już z karabinem wyższym od Ciebie i bardzo ciężkim. Nocą, w przenikliwym wietrze listopadowym, w deszczu, śniegu, w błotnistej kałuży, świadom dyscypliny trwałeś pod ogniem na posterunku, pełen poczucia obowiązku.

W starym Ogrodzie Jezuickim, na ulicy Bema, na Cytadeli i pod Górą Stracenia, wielu towarzyszy Twoich poległo.

Nie bałeś się niczego. Przed niczym się nie ugiąłeś. Wzbudzałeś podziw starszych. Byłeś chwałą swego miasta, jego jaśniejącą nadzieją.

Tobie to, wierny, niezapomniany, wspomniały Obywatelu, poświęcam kartki tej książki, nieudolne odzwierciedlenie Twoich bohaterskich zmaganiań.

Chciałbym... kochany mały Obywatelu, w tych opowiadaniach prawdziwych, prostych i gorących jak serce Twoje - każdym słowem, każdą literą, złożyć Ci piękny, polski salut żołnierski: CZĘŚĆ!

A teraz zdarzenie opowiedziane mi przez naocznego świadka, mieszkańca ul. Słowackiego:

"Ponury dzień listopadowy; obie strony walczyły zawzięcie. Polacy bronili Poczty głównej. Nieprzyjaciel umieścił karabiny maszynowe na strychu naszego domu i strzelał ze wszystkich okien strychu. Oficerowie skryli się w moim, częściowo zrujnowanym mieszkaniu, którego okna wychodziły właśnie na ul. Słowackiego.

Ile razy usiłowali podejść do okna, strzał oddany przez niewidocznego przeciwnika, zmuszał ich do cofnięcia. Nagle jeden z Ukraińców ugodzony w ramię, wbiegł do przedpokoju, gdzie byliśmy zgromadzeni. Zażądał wody, opatrzył sobie ranę, następnie zawołał towarzyszy i wyszli, klnąc na czym świat stoi przeciwnika ukrytego na Poczcie. Gdy zostaliśmy sami, zaciekawieni, co mogło doprowadzić ich do takiej pasji, podeszliśmy ostrożnie do okna.

Widok jaki ukazał się naszym oczom był zdumiewający. Ze spalonej i prawie zupełnie zburzonej Poczty, ogień karabinowy nie ustawał. Po chwili dostrzeżliśmy miejsce, skąd kule wylatywały ze zdumiewającą celnością. Tuż przy wyłamanej bramie, oparty o mur klęczał dzieciak może piętnastoletni i ten to nie przestawał strzelać. Ktoś drugi mu pomagał, podając od tyłu nabite karabiny. Strzelał i skutecznie, i celnie.

Chcieliśmy już odejść od okna, bo kule padały coraz to gęściej bzykając koło uszu jak bąki, gdy nagle żołnierz zachwiał się i usunął na ziemię. I w tej samej chwili czyjeś inne ręce chwyciły karabin i dzieciak w tym samym wieku zajął miejsce poprzedniego. Strzelał z zapalem i zapewne też kul nie marnował.

Cegły muru, o który chłopiec był oparty, bryzgały pod kulami nieprzyjacielskimi, pokrywając czerwonym pyłem strzelca. Patrząc na to, ogarnęło nas przerażenie. Mimo niebezpieczeństwa, nie mogliśmy odejść od okna. Wargi nasze bezwiednie szeptały gorącą modlitwę.

Strzały padały coraz gęstsze. Poczta grzmiała już wszystkimi drzwiami i oknami. Nagle usłyszeliśmy salwę... raz, drugi, trzeci...

Klęcząca przy bramie figurka osunęła się na ziemię. Ręce usiłowały podnieść jeszcze broń...

Ale i tym razem placówka nie została opuszczona. Z dziury w murze, wysunął się trzeci niedorostek. Szybkim ruchem odsunął ciało towarzysza i podniósł karabin do ramienia...

W tej chwili usłyszałem za sobą drżący głos żony:

- Boże! Boże! Przecież to dzieci...!

Artur Schroeder

Z braku polskiego egzemplarza książki pt. ORLETA, wstęp i opowiadanie z niej, przetłumaczone zostało dla OGNIW z wydania francuskiego.

Obecnie wychodzi we Francji książka o Lwowie znakomitej pisarki francuskiej i wielkiej przyjaciółki Polski pani Rosy Bailly.

Zegary lwowskie

Kiedy wieczorne zmówiwszy pacierze
Zaśnie spokojnie Lwów stary,
Wtedy sędziwe rozmawiają wieże
I rozmawiają zegary.

Już dawni ludzie w cichym leżą grobie
Wieki odeszły na cmentarz,
A one ciągle wspominają sobie:
"Czy też, mój bracie, pamiętasz?"

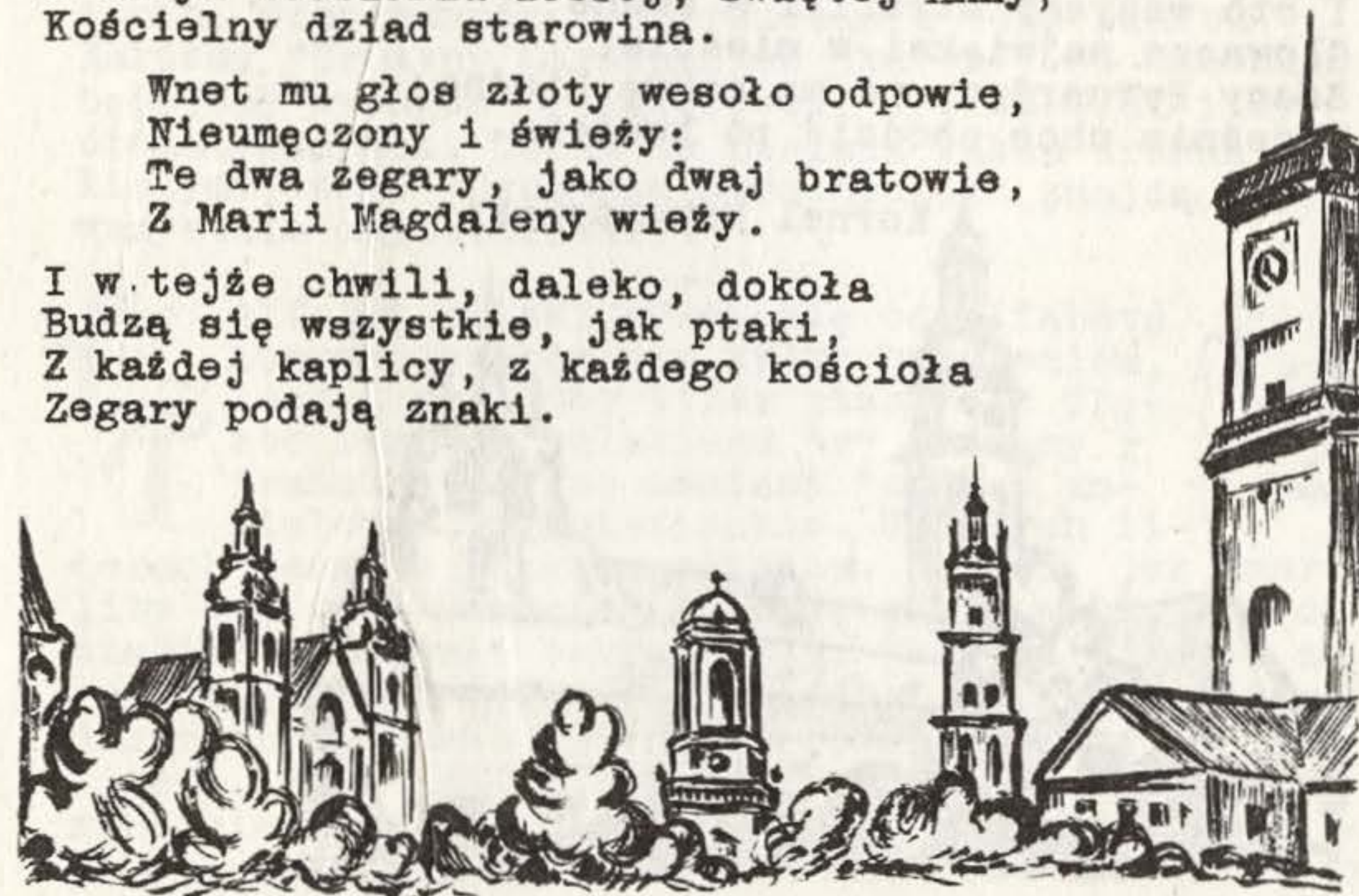
A gdy północna nastanie godzina,
W każdym z nich budzi się dusza
I wtedy wolno opowieść zaczyna,
Dostojny zegar ratusza.

To wiek i urząd przywilej mu dawa,
Iż on zaczyna pacierze,
Takie są bowiem dawne miejskie prawa,
Że burmistrz pierwszy głos bierze.

Bim! Bam! Zadzwoił służka nieustanny,
Modlący się co godzina,
W małym kościółku dobrej, świętej Anny,
Kościelny dziad starowina.

Wnet mu głos złoty wesoło odpowie,
Nieumęczony i świeży:
Te dwa zegary, jako dwaj bratowie,
Z Marii Magdaleny wieży.

I w tejże chwili, daleko, dokoła
Budzą się wszystkie, jak ptaki,
Z każdej kaplicy, z każdego kościoła
Zegary podają znaki.



Jeden jest tylko w ślicznym mieście Lwowie
Zegar co bije przed czasem,
Bo przed wszystkimi zawsze się opowie,
"Bernardyn" dźwięczącym basem.

Więc dźwięczy godnie, wspaniale, dostojnie,
O szczęściu i o cierpieniu,
O znojach, bojach, o straszliwej wojnie
I o Tatarów zniesieniu.

O Arciszewskim zeń w ciszę wieść leci,
Jak wzmacniał mury i szańce
I o tym, jako on wielki, Jan Trzeci,
Zbił i pognębił pohance.

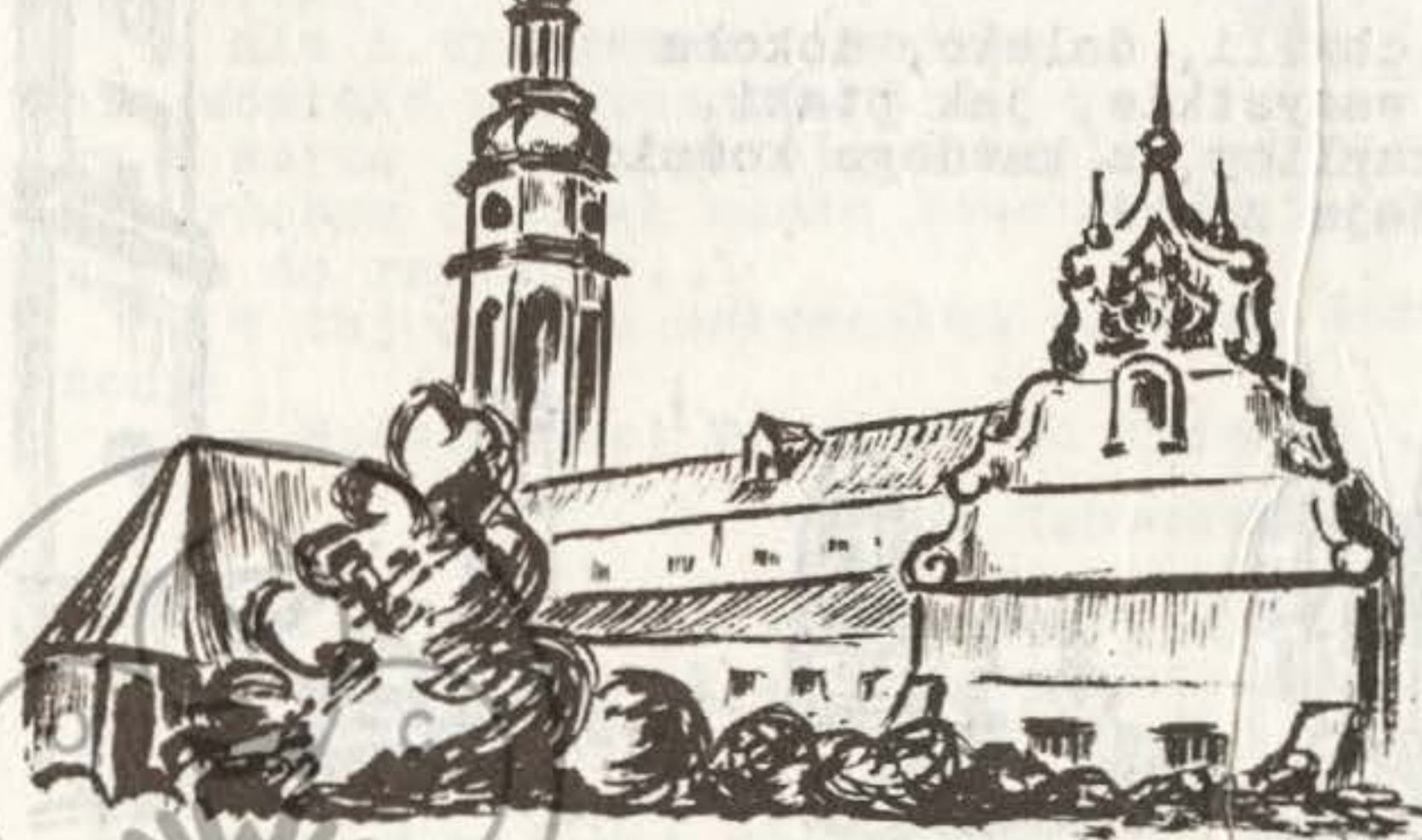
Bim! Bam! dokoła dziwią się zegary,
Zdumione sławy pogonią
I tryumfalne śpiewają fanfary
I dzwonią, dzwonią, dzwonią.

Lecz choć się wcześniej ogłasza o chwilę
I tym od wieków już słynie,
Ratusz z urzędu pierwszy jest - i tyle!
Pobożny nasz "Bernardynie"!

Dawno we Lwowie myśleli już o tym,
Ludzie potężni w rozumie,
Czemu "Bernardyn" wcześniej wali młotem,
Wciąż pierwszy w zegarów tłumie?

I oto wszyscy utrafili w sedno,
Głowacze najwięksi w mieście:
Zacny Bernardyn, co ma sakwę biedną,
Wcześniej chce chodzić po kweście.

Kornel Makuszyński



mowa polska - skarb Twój

(Co miesiąc w tym dziale podawać będziemy wiadomości i ćwiczenia z języka polskiego. Ułatwić one mają wszystkim czytelniczkom uczenie się mowy ojczystej. Prosimy nadsyłać odpowiedzi na podane ćwiczenia. Poprawione, będziemy zwracać. Dział ten jest pod redakcją p. Celiny Mikołajczak, której za ofiarowanie współpracy serdecznie dziękujemy).

Jak wielkim skarbem jest mowa, wie ten, kto nigdy nie mówił - niemowa.

Jak wielkim skarbem jest mowa ojczysta, wie ten, kto zagubiony wśród obcych spotkał rodaka, z którym mógł porozumieć się ojczystą mową.

Skarb ten gromadziły i przechowywały pokolenia naszych przodków.

Skarb ten dziedziczy każdy z nas Polaków i Ty też.

Nie wolno go trwonić, gubić, umniejszać.
Mowa się zmienia i wzbogaca.

Jak na rzeczywisty skarb składają się: srebro, złoto i klejnoty, tak na skarb języka ojczystego - mowa i słowo pisane.

Chcemy wam pomóc w poznaniu, pokochaniu, strzeżeniu, wzbogacaniu i oczyszczaniu tego skarbu. Założymy "Drużyny Strażniczek Skarbu". Od członkiń będziemy wymagać pracowitości, wytrwałości i systematyczności. Cechy te posiada każda drużyna, więc liczymy, że w "Drużynie Strażniczek" znajdą się wszystkie czytelniczki.



Alfabet polski różni się od alfabetu innych języków nie tylko brzmieniem, lecz i wyglądem liter pisanych. Często zamiast polskiego "r" piszemy r francuskie, lub zamiast "z" - z angielskie czy niemieckie. W dużych li-



terach jeszcze większa różnica. Pomyśl, jak zmartwiłoby się twoi krewni w Polsce, gdyby w listach od ciebie znajdowali takie błędy. Skontroluj więc zaraz swoje pismo. Porównaj alfabet polski z literami jakimi ty piszesz. Zwróć szczególną uwagę na duże litery. Wzór znajdziesz w elementarzu. Jeśli nie masz elementarza, poproś kogoś z dorosłych, aby poprawił napisany przez ciebie alfabet. Zauważ błędy

i pisząc po polsku unikaj ich starannie.



Dziewczynka, która uczyła się w Paryżu, będzie opowiadała po powrocie do Polski, że do szkoły jeździła metrem, a ta z Anglii "undergroundem", i nie będą wiedziały, że jeździły taką samą kolejką podziemną. A stanie się to wtedy, gdy dopuścimy do zanieczyszczenia naszego "skarbu" takimi fałszywymi monetami. Te fałszywe monety, to wyrazy z obcego języka, których używamy mówiąc po polsku. Oczyszczanie naszej mowy z obcych naleciałości, to wielki trud wymagający stałej czujności.

Zastanów się, których obcych wyrazów najczęściej używasz (czy nie jeździsz "busem", czy nie kupujesz lodów za "sixa"). Wybierz z nich w tym miesiącu trzy i postanów sobie nie używać ich nigdy... Wieczorem zrób "rachunek sumienia". Jeśli nie używałaś tych wyrazów w ciągu dnia ani razu, zaznacz w swoim kalendarzyku ten dzień ołówkiem kolorowym. Jeśli ci się nie udało, nałóż na siebie dowolną karę. Proponuję: wstań następnego dnia o kwadrans wcześniej, wykonaj na ochotnika najmniej miłą pracę w domu, napisz 10 razy po polsku wyraz obcy, którego użyłaś. Jeżeli masz koleżankę-Polkę, brata lub siostrę wykonywujcie to ćwiczenie razem, pilnując się nawzajem. W następnym miesiącu wybierz 3 inne wyrazy obce, którym wypowiesz "wojnę". Jestem przekonana, że już po dwóch miesiącach obce wyrazy tak będą raziły, że przestaniesz ich używać.



W każdym języku, a w polskim w szczególności od każdego wyrazu możemy utworzyć pochodne lub zdrobniałe, np. stół, stolik, stoliczek, stołek, stołeczek, stołowy. Utwórz pochodne i zdrobniałe od wyrazów: róża, córka król, góra.



Uwaga: a) ó zachowują wyrazy pochodne i zdrobniałe.
b) dobry przykład: róża - różowy, zły przykład: róża - róże, bo ten wyraz oznacza ten sam przedmiot, tylko zmieniła się liczba.

Komu uda się utworzyć największą ilość wyrazów pochodnych? Dowiem się o tym, jeśli przysłacie mi wykonane to ćwiczenie.

LIŚCIE , NASIONA , OWOCE .

W jesieni najłatwiej zbierać liście opadające, nasiona i owoce wielu drzew. Dla ciekawości i orientacji podajemy wam, na naszej tablicy, liście, nasiona i owoce kilku drzew, rosnących w Polsce. Podkreślamy jednak, że posługujemy się w wykonaniu kolorowym tylko dwoma kolorami i metodą fotograficzną, więc rysunki nasze są jedynie zbliżone do rzeczywistego wyglądu.

Jeśli zachęcicie się tym, co zobaczycie w OGNIWACH - poszukajcie w różnych botanikach i encyklopediach bardziej dokładnych rysunków i opisów. A może spodoba się wam pomysł zrobienia zielnika-zbioru?

Mieszkacie w różnych częściach świata, nie-raz bardzo egzotycznych, gdzie rosną, kwitną i owocują - na waszych oczach - dziwne i piękne drzewa. Pomyślcie, czy nie warto zebrać ich liście, nasiona, ewentualnie owoce. Wkleić w kartki zielnika, przechować w osobnych pudełeczkach z napisem: nazwy i miejscowości, gdzie zebrane. Jak kiedyś wrócicie do Polski, będziecie mogły taki zielnik-zbiór, ładnie i porządnie wykonany - ofiarować jakiejś polskiej szkole, czy szkolnemu muzeum przyrodniczemu. Taki dar będzie na pewno z wdzięcznością przyjęty.

A może przysłacie opis waszych obserwacji do OGNIW, abyśmy wszystkie wiedziały w jakim krajobrazie i wśród jakiej przyrody żyjecie?

Na naszej tablicy podajemy wam następujące drzewa: 1. grab - ma owoc-orzeszek z jednej strony osłonięty przez liściastą pokrywę.

2. dąb - ma charakterystyczne owoce, zwane żołędziami. Są to wydłużone orzechy, otoczone u podstawy miseczką.

3. buk - ma orzechy po dwa, otoczone wspólną powłoką tzw. bukwią.

4. wiąz - ma charakterystycznie uskrzydłone owoce-orzeszki, zebrane w pęki.

5. klon i jawor - ma owoc złożony z dwóch niełupek, opatrzonych skrzydełkami, tylko pod innym kątem ustawionymi.

6. lipa - ma po kilka okrągłych, twardych owoców, zrosniętych z przykwiatkiem, podobnym do liścia - skrzydełka.

7. sosna, świerk, jodła - mają szyszki, różniące się kształtem. Między ich łuskami są nasiona, które po dojrzaniu szyszek i rozsunięciu czy opadnięciu łusek - wypadają.

KLON OSTROLISTNY



AKACJA



TOPOLA



DĄB



WIAZ
POLNY



BUK



JESION



LESZCZYNA



SOSNA



JAWOR



LIPA

ŚWIERK



GRAB



JODŁA

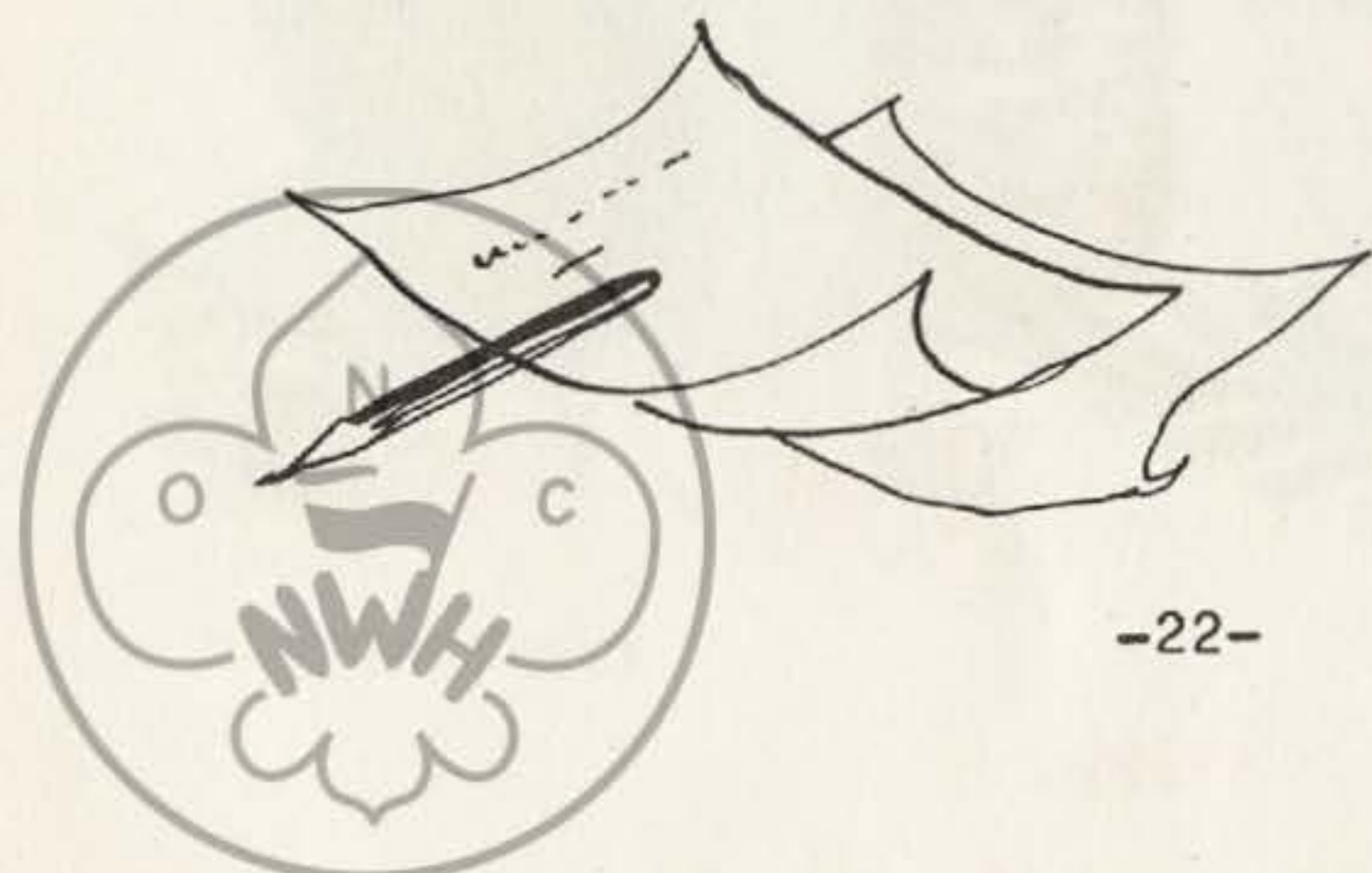


rys. "Narcyz"

pogoda

Z kim ja mieszkam? Z urodą.
Z kim rozmawiam? Z pogodą,
Co mi ściany słońcem wybiela,
Z wiatrem co z nieba przybiegł,
Z przylepionym na szybie
W puch owitym nasionkiem ziela ...
Z pajęczyną na wierzbie,
Co się w klejnot przedzierzgnie,
Kiedy rosą słoneczną obmoknie,
Z szyszkami, co po sosnach
Pozbierane przyniosłam,
By mi kwitły jak róże na oknie.
Prosta skrzynia drewniana
W wiejski wzór malowana,
Błyska z kąta pstrokata radością;
Stół kulawy - najszczęśliwszy
Powiernik moich wierszy -
Poskrzypuje mi pod ręką z czułością.
Na nim garnek gliniany,
Z kwiatów świeżo zerwanych
Kropla rosy spada na papier...
O poezjo, urodo!
Czy to kwiat spływa wodą,
Czy to z serca twojego łza kapie?
Bo tu wszystko się złoci
Od wzruszeń i od pociech,
Których w każdej godzinie jest mnóstwo!
Bo sam Pan Bóg obficie
Ustraja moje życie
W najwspanialsze, bezcenne ubóstwo!

Zofia Bohdanowiczowa



-22-

archiwum

Obrazki serdeczne

Jest jesień 1939. Lwów zajęty przez bolszewików. Zbliża się 11-ty listopada. Na ulicy spotykają się dwie koleżanki.

- Czy wiesz już?

- Wiem! - pada odpowiedź... I cichy szept płynie ulicami. Jak telegraf bez drutu. A wczesnym rankiem 11 listopada, kościoły są pełne młodzieży. Jak zawsze, jak każdego roku. Z tą tylko różnicą, że bez mundurków, w zwykłych sukienkach i płaszczach. A w czasie Komunii św. wszyscy powoli podchodzą do ołtarza. Jedna za drugą młodzieżka postać przykłęka na stopniach... Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!

Rok 1940. W szkole zamknięta kaplica. Ze ścian zerwany Orzeł Biały, zdarte obrazy Marszałka Piłsudskiego.

Za przykładem Hanki dziewczynki klękają pod kaplicą. A kiedy do klasy przychodzi bolszewik i ze śmiechem szyderstwa pyta w czasie lekcji astronomii "No, tyle gwiazd, tyle mgławic a gdzie te wasze anioły w niebie?".

- E, to za trudne dla was, wy tego nie rozumiecie - pada z ławki jasna, odważna odpowiedź.

Twarda jest ta lwowska młodzież. Nic jej złamać nie zdoła, ani groźba, ani obietniki... Kiedy na mityngu w auli szkolnej, zebrano wszystkie dziewczynki, by jednogłośnie uchwaliły podpisać dzielny list do Stalina - nie pomogły zamknięte drzwi, trzymanie przez kilka godzin o głodzie, groźenie karami... Nie podpisały!

Rok 1942. Lwów pod okupacją niemiecką. Adaś i Ewa niewiele mają ponad 11 lat. Codziennie ich spotkać można wieczorem, w drodze na "Górę Jacka", tuż obok szkoły Sióstr Urszulanek. Gdzie idą, tak ostrożnie, czujnie oglądając się dokoła czy nie widać policji niemieckiej? Adaś i Ewa idą do pani Cesi, na lekcję w tajnym komplecie. Wiedzą już dobrze co to znaczy konspiracja. Jak trzeba uważać. I choć rozumieją, że będzie z nimi źle, gdyby się Niemcom dostali do rąk, codziennie wytrwale idą uczyć się o Polsce i dla Polski.

-23-

Basia K. była zuszką przed wojną a teraz, w roku 1943, jest łączniczką pani doktor Wiktorii, kierowniczką tajnych kursów sanitarnych. Basia ma długie warkoczki, jest czarniutka. Mieszka na placu Bernardyńskim. Kiedy doktor Wiktorii ma swój tajny kurs wieczorem, Basia pędzi przed nią, pół godziny wcześniej, by zanieść potrzebne do wykładu przyrządy. Panią Doktor nie mogą Niemcy złapać z takim ładunkiem! Ona - Basia - jest mała. Przemknie się pod murem. Niewidzialna.

Baśka A. przed wojną już była harcerką. W czasie okupacji niemieckiej pracuje w AK (Armia Krajowa). Jest wiosna 1944. Trzeba przewozić broń przez miasto, na rogatkę Janowską. A w oznaczonym domu, już sobie nocą odbiorą ją - leśne oddziały.

Najniebezpieczniejszy - to właśnie przejazd ulicami miasta do rogatki!

Baśka jedzie na furze chłopskiej, siedząc na starej balii i połamanych gratach, pod którymi na dnie, pod sianem jest ułożony niebezpieczny ładunek. Wiatr rozwiewa jasne włosy Baśki. Cała jej świadomość i wola skupione w jednym pragnieniu: dojechać, wykonać zadanie! "Halt" - posterunek Gestapo zatrzymuje wóz. Baśka jest spokojna i opanowana. "Nie dam się, nie oddam fury" - postanawia natychmiast. Na pytania Niemców odpowiada bez zająknięcia, niemal wesoło. Ba, sama wskazuje ręką, co to takiego na furze wiezie. Niemcy przypatrują się jej uważnie. Czyż jest do pomysłenia, aby dziewczyna, jadąca z czymś groźniejszym niż balie i stare krzesła mogła się tak spokojnie zachowywać? Chyba nie. I furka z turkotem rusza dalej.



Jesień 1945 r. Na Dworcu Głównym stoją transporty pociągów towarowych. Mają zabierać ludność polską ze Lwowa. Bo granica Rosji sowieckiej objęła i Lwów, to miasto "zawsze wierne", które rosyjskim nie było nigdy, które było i zawsze będzie miastem polskim, choćby jego ludność wróg daleko po świecie rozrzucił.

Hanka, Ewa i Krysia stoją przy "swoich" wagonach... Oczy zalane łzami nie widzą już nawet drogiego miasta w koronce jesiennych liści. W sercu rośnie bunt. Jakto? Czyż można tak poprostu, przemocą wykreślić polskie miasto z mapy Polski i zamienić je na rosyjskie? Czyż można pozbawiać, tak odrazu, tyle tysięcy ludzi miejsca rodzinnego i domu?

Pociąg rusza. Jeszcze z daleka widnieją wieże kościoła św. Elżbiety... I nagle wszyscy zaczynają śpiewać pieśń, teraz bardziej do płaczu podobną: "W dzień deszczowy i ponury... szeregami lwowskie dzieci idą tułać się po świecie...".

Teatr w Krakowie. Rok 1946. Grają "Grube ryby" Bałuckiego. Młodzież wysiedlona ze Lwowa, skupiła się w tylnych rzędach teatru. W pewnej chwili jeden z artystów wypowiedział w swojej roli słowa: "...Pojadę do Lwowa"... Szalone brawa i krzyk nie pozwoliły mu mówić dalej. "Pojedziemy do Lwowa, pojedziemy!"

Podniecony okrzykami lwowskiej młodzieży cały teatr zaczął huczeć... "Pojedziemy do Lwowa"!..

Tak, pojedziemy na pewno!

Barbara

Chodźmy się przejść

Jeżeli chciało się spojrzeć na inne oblicze Lwowa, nie na jego historię, zabytki, rynek stary ze studniami, nie na główne ulice, pomniki, tylko tak, jakby się chciało dom własny zobaczyć nie od frontu a od podwórza - to należało wejść w dość brzydką, stromą, nic nie mówiącą ulicę Supińską. Domy - takie typowe kamienice lwowskie, budowane gdzieś z początkiem naszego stulecia - były bez wyrazu. Jedyne upstrzenie - bo trudno to nazwać ozdobą - stanowiło kilka sklepików, mieszczących się w pół-suterenie, do której schodziło się po dwóch, trzech, dobrze wygniecionych już stopniach. Były to w całym tego słowa znaczeniu "sklepiki", zwane w lwowskiej gwarze "szwarc-mydło-powidło". Drzwi szklane i szyby okien wychylające się tuż na chodniku, nosiły ślady muszych wędrówek. Nad reklamami "Maggi", "Ceresu", "Proszku z dwoma kluczami", "Cukier krzepi", królował czarny napis na krzywo wyciętej tekturze: "Woda sodowa". Tak!

Woda najsmaczniejsza, jaką sobie można wyobrazić. Bo trzeba wiedzieć, że woda lwowska ze stawów dobrostańskich, najlepsza w całej Polsce, ba! ponoś nawet w całej Europie, istotnie wyjątkowy smak posiadała. A gdy zamknięta w butlach metalowych i wzmocniona magicznymi bańkami tlenku...nikt, kto nie pił, wyobrażenia o jej dobroci mieć nie może! Butle stały w beczce z lodem, zimne, zroszone i szklanka, do której z sykiem płyn się wdzierał, odrazu powlekała się matowością chłodu. A gdy jeszcze na dno jej chlupnięto trochę, domowej roboty, soku z malin...! nie, nie, tego nikt nie pojmie.

Im wyżej Supińskiego, tym domy stawały się niższe, z wcześniejszych lat pochodzące aniżeli te reprezentacyjne, dwu i trzy piętrowe, na dole. Z chodnikiem też nie było tu najlepiej, bo podnosił się, wgłębiał, niektóre płyty odpowiadały nawet ruchem, jakim odpowiadają naciśnięte, łączności ze strunami pozbawione, klawisze i kończąc się, przechodziły w szkarpię. Miał on domorosłe, stopą wyżłobione schodki, bardziej wystającym korzeniom drzew tu rosnących, aniżeli sztuce budowniczej istnienie swe zawdzięczające.

I tu było wejście na Cytadelę, która na wiosnę, latem i jesienią, odrazu owładała człowieka zielonością. Po jednej stronie był mur i koszary z czerwonej cegły, z bielonymi ramami okienek żołnierskich izb, po drugiej zaś, jak okiem sięgnąć, zielono, zielono, zielono... Stoki Cytadeli porośnięte drzewami, spadały ku ulicy Pełczyńskiej, ku placom tenisowym (w zimie zamienianym na ślizgawkę), i znów podnosiły się pełnią drzew i krzewów

ogrodu, który nie miał zdecydowanej nazwy, bo jedni zaliczali tę część do Parku Stryjskiego, drudzy opowiadali się na rzecz ulicy Kadęckiej. Przy samym wejściu na to zbocze parkowe, siadywał siwy preclarz z twarzą zszuszoną jak zimowa gruszka, cały niemal schowany pod rondem kapelusza za dużego, zzieleniałego już od starości i wołał: "Precle! Świeże precle! Majowe, solone!"

Słowo "precel" jest znane, ale nie każdy dziś zrozumie



co znaczy "precel lwowski". Takich precli w całej Polsce nie było. To nie przesada, nie patriotyzm lokalny. To prawda. Tajemnicę wyrobu takich precli tylko lwowscy specjaliści posiadali i pilnie jej strzegli. Rozłożystość miały sporej dłoni, cienkie na końcach zakręconych gałęzi, grubsze u nasady, w środku białe jak śnieg, wypieczone, a przecież lekko wilgotnawe i mimo to chrupiące, przyrumienione z wierzchu, a na nich rozplaszczona mapa kropli solnych, umiejętnie po preclu rozprowadzonych. Takich precli zjeść można było pięć, dziesięć i jeszcze ochota na więcej brała... Sprzedawano je w koszach głębokich, półokrągłych, z których sterowały patyki, a na patykach naszyjniki nawleczone nych precli. We wnętrzu kosza leżały w pudełkach andruty, przekładane masą czekoladową, t.zw. "piszyn-gery", lub masą białą, kwaskowatą t.zw. "pizyn-gery cytrynowe". Leżały cukierki "z krówką", czekoladki "Milka" i najlepsze ze słodyczy lwowskiego dzieciństwa "mydełka". Były to tabliczki o trzech kolorach, żółtym, brązowym i różowym, i te naprawdę smak mydła miały i przez to były znakomite. Niestety, aprobaty starszych nigdy nie zyskiwały i można je było kupować i jeść tylko ukradkiem.

Ale trzeba znów wrócić na dół do placu Bolesława Prusa, skąd to weszliśmy w ulicę Supińskiego i idziemy w drugą stronę inną, pod górę wiodącą drogą - ulicą Stryjską. Miała ona ogrodów pod dostatkiem i mimo lat postępu zawsze czerniała zmurszałymi parkanami, kulącymi się między nowoczesnymi, niedawno wyrosłymi domami. Szeroka, porządnie brukowana, po kilkunastu krokach skręcała na prawo i w tym jej zakręcie stał mały parterowy domek z maską dramatu i komedii nad drzwiami. Domek ofiarowany przez miasto znakomitemu aktorowi-Żelazowskiemu. Mijało się domek, zabieliły jeszcze dopiero co narodzone bloki mieszkalne i ogarniała nas zieleń... Po prawej gęsty, ciemny, niejedną tajemnicę kryjący, burzył się trawami, chwastami, krzakami jaśminów, czeremchy, dziką wiśnią, bzami, dawny cmentarz Lwowa, Cmentarz Stryjski, gdzieś w ostatnich latach XIX w. zamknięty... Nieco wyżej drogi położony, ciągnął ku sobie, ciekawił zapomnieniem napisów, grobów kamiennych, mchem porośniętych figur i pomników. Wciąż mawiano, że tam z tej zieleni, jednego dnia, wyprowadzi się mrok i milczenie, a zamiast świergotu rozkrzyczanego ptactwa, rozlegnie się stukot młota, dźwięk kielni,

dyszenie dźwigów i nowa dzielnica miasta rozpoczęcie nowy żywot na żywocie uśpionym.

Równoległe do niego, po drugiej stronie drogi, odgradzony wysoką siatką, ciągnął się... Park Stryjski. Co za zielen! Co za aromaty! Nagle siatka się urywała i wchodziło się pewnie, kroki kierując na prawo...

W obramowaniu furtki twardych strzyżonych liści - aleja. Dwa szeregi ciemnych, równo ciętych drzew grabowych, prosto...prosto przed siebie, aż do furtki drugiej, czerniącej na tamtym końcu szerokiego szpaleru. Tylko żwir chrzęścił pod stopami. Cicho. Bo w tej alei zawsze było cicho. Rzadko kto zachodził tu dla rozrywki, a dzieci nuda ogarniała w tym liściastym łądzie, gdzie to ani piłką się bawić, ani koła zatoczyć... Nawet wędrowny preclearz tu się nie zatrzymywał. Bo poco? Dla kogo?.. Ławki proste, bez poręczy, niskie, staroświeckie ławki. Na ławkach siadywały jedynie pary wiosenne a te - wiadomo, bardziej ku mowie oczu się skłaniają, aniżeli ku wymianie myśli- słowami. Siadywali studenci, zarostem pokryci od tygodni, dumający nad znikomością nauk, z których posiadania mieli się niedługo tłumaczyć przed gronem profesorów. Siadywali ludzie szukający siebie mniemając, że może w tej ciszy usłyszą nareszcie głos swego "ja", którego nigdzie i nigdy usłyszeć nie mogli...

Szło się w ciszy chrzęszczącej żwirem, nie zwracało uwagi na dłonie splecione, nie słyszało pomrukiwań formułek naukowych... Wchodziło się pod kędzierzawe sklepienie drugiego przejścia i przenosiło odrazu w świat inny. Aleja, z jej półklaczną prostotą, przestawała istnieć, bo oto szumiały drzewa wysadzały gościniec, a po gościńcu furmanki tylko turkotały, tylko samochody śmigwały i ludzie kulili się na rowerach pędząc, pędząc...

Szkołę Kadetów miało się przed sobą, ale zostawiało po lewej ręce i ostrym skrętem schodziło w stromość ulicy Kadeckiej, jasnej, buchającej ogrodami i tam u wejścia na zbocze parkowe, koło remizy tramwajowej, przy koszyku preclearza w kapeluszu za dużym, spadającym na oczy, patrzące blado z twarzy zeschiej, jak zimowa gruszka, spotykało się tego, kto przyszedł tu od strony ulicy Supińskiego.

Teodozja Lisiewicz

Wiatr

Leci, szumi wiatr!
Hu, jak chucha, zimnem dmucha
rozgniewany wiatr!

Plusnął deszczem, świsnął z góry,
ponaganiał czarne chmury,
dudni, huczy w blachy rynien...

Żle ci? Sameś sobie winien!

Ogrzej skrzydła przy kominie,
to ci zaraz złość przeminie,
bo w tym naszym białym domu
źle nie może być nikomu.
Patrz, jak dobrze, cicho, jasno,
jak iskierki złote gasną,
w komin lecą, ---
ciepło niecą - - -
czyś -ty tego wart?...

Zasłuchał się wiatr -
nie poleciał w świat:
już włóczęga mu obrzydła...
Przy kominie ogrzał skrzydła,
potem sfrunął na zagony.
Tam zobaczył czarne wrony -
razem z nimi siadł.

Antoni Bogusławski

Zimenne gwiazdy

Zwilgły opadłe liście i zmiękły ziół badyle,
mrok z rosą zasiał ziemię i będzie noc za chwilę...

Pokój ci ziemio! Pokój dostałych nasion poro!
Nad tobą innych światów dojrzałe ziarna gorą.

Wtrzepane w chłodną otchłan łykliwych plew dygotem
gwiazdy... O, wysypane nocy nasiona złote!

Beata Obertyńska



O złej babie płótnie i dukatach

Dawno, bardzo dawno temu, żyła sobie w jednej wsi na Mazurach - baba. Taka wiejska gospodyni. Miała taką samą jak inne baby, pasiata zapaskę i spódnice od święta, gorset krasny i taką chustę. Gospodyni to tam z niej była nienajgorsza; bydłatek dojrzała akuratnie, gadzinę też, chatę oporządziła, strawę uwarzyła a robota paliła jej się w ręku! Jak przędła, jakie tkała cieniutkie płótna! Żadna z jej kum i sąsiadek tego nie umiała. Nie byłoby o niej rzec i co złego, gdyby nie to, że na pieniądze a dobro wszelakie łakoma była strasznie! Żaden parobek, żadna dziewczyna długo u niej nie wytrzymali. Nawet ci, najbardziej robotni, co szli spać o północy a wstawali przed świtem. Pracować mogli, bo jak to w gospodarce każdej, pracy było dosyć, ale...każde z nich miało jedną i tę samą wadę: chcieli jada i to dobrze omaszczonego i zapłaty. A tego nasza baba nie lubiła! O, nie! A nie lepiej to talar schować do skrzyni, a drugi i trzeci do niego dołożyć, aż w czerwony złoty urośnie? A nie, wydawać grosze i półzłotki na szperkę albo płacić dziewczusze, która to na wstążki a koralki wyda! Taka już była baba, znali ją wszyscy a bał się jej każdy.

Otóż raz, a było to już pod jesień, poszła baba prac nad strugę. A trzeba wam wiedzieć, że dawnymi, bardzo dawnymi czasy - jesienią też było ciepło jak w lecie, nieledwie deszczyk od czasu do czasu popadał albo wietrzyk powiał. A zimy też, jakby wcale nie było, ludzie nie znali śniegu, bo nigdy nie padał. Ot, tak sobie wiosną przekwitły kwiaty, latem dojrzały zboża i owoce ludzie zebrali co Pan Bóg dał a potem tylko spacerowali, a gościli się a pogwarzali... Odpoczywała ziemia, odpoczywali ludzie. Nikt specjalnie drow do ogrzania chaty nie woził, ot, ino chrustu nieco do strawy warzenia. Nikt kożuchów nie naprawiał, ani ciepłej odzieży nie sporządzał, bo i po co?

Jak już powiedziałam - ludziska w tych dawnych, szczęśliwych czasach, takich rzeczy jak śnieg i mróz zupełnie nie znali.

Otóż, w taki to ciepły, śliczny jesienny dzień stoi baba nad strugą, bieliznę położyła w wodzie i pac...pac... kijanką po niej pierze, a mruczy sobie



coś pod nosem, jak ten kot pacierze. To tak sobie sama oblicza, ile to weźmie za jajka (ta niecnota Kaśka jedno zbiła, na Wielkanoc jej za to jajka nie da!), ile serków zdoła na jarmark przysposobić, a ile oselek masła ubije i otoczy. Tak sobie baba mruczy te swoje obrachunki i pac...pac...kijanką po bieliznie. Aż tu przerwał jej ktoś miłe zajęcie.

- Pochwalony! - usłyszała baba nad sobą. Podnosi oczy patrzy, stoi sobie dziadek, ot taki, co to po wsi za proszonym

chlebem chodzi. Podniszczona już na nim sukmanka, ale czysta, łapcie na nogach, czapka barankowa na głowie, koszula zgrzebna ale schludna wygląda pod szyją, kijaszek w rękę i torby parciane na troku zarzucone przez ramię.

- Pochwalony! - odburknęła baba - niech Pan Bóg opatrzy! - dodała, bojąc się, że dziad o kawałek chleba poprosić może. Tylko źli i skąpi ludzie zwykli się zawsze w dobrych uczynkach Panem Bogiem wyręczać!

- Nie chcę ja waszej jałmużny - odpowiedział jej na to dziadek - i jeśli chcę was o coś poprosić, to nie dla siebie.

- Ale, patrzcie no go, jaki to bogacz! - baba go przedrzeźniła - ledwie sukmana na grzbiecie kupy się trzyma, a on nie dla siebie prosi! Znamy się na tym!

- Przestań kobieto i nie obrażaj Boga, albowiem Ojciec mój więcej ma, jak rozdał. - odparł nieznamy. Mimo skromnego, niemal żebraczego ubioru, majestat jakowś bił z jego słów i postaci. Ale baba w zaciętrzewieniu swoim a strachu, że nuż a choćby chleba kromeczkę lub garść kaszy dać trzeba, nie spostrzegła nic odmiennego w tym starcu, więc rzekła porywczo:

- Idźcie, nie zabierajcie mi czasu. Biedna ja kobiecina i sama umarłabym z głodu, gdybym wszystkich proszących o wsparcie obdarzać chciała. Nie mam ani grosza!

- Nie grosze mi twoje potrzebne, ani te talary i dukaty co chowasz na dnie skrzyni, bo moc moja i te liście na drzewie w dukaty zamienić może. Spójrz

Tu dziadek kijaszkiem wskazał buk niedaleki, a w tej chwili drzewo złoto-czerwonym blaskiem rozblysło, bo ciemno zielone przed chwilą liście w złote dukaty się zamieniły. Baba chwilę oniemiała z podziwu, a potem z palcami jak szpony zakrzywionymi, rzuciła się w stronę drzewa. Ale zatrzymał ją staruszek.

- Kobieto, po cóż ci to? Przecież tego przed tron Boży nie zaniesiesz, tam inne skarby potrzebne!

- Dajcie mi je, dajcie te dukaty - powtarzała nieprzytomna prawie z chciwości - zróbcie mi tę łaskę!

- Właśnie łaskę... z łaską swoją przyszedłem do ciebie, kobieto. Oto w twojej wsi na końcu, stoi rozpadająca się chata, dzieci tam pięcioro, wychudłe rączyny po chleb wyciągają. Drobiazg taki, a matka, biedna wyrobница, leży na barłogu, bo ostatnią płachtę na chleb zamieniła. Takie tu piękne i cieniutkie płachty pierzesz i koszule, jak jedwab! Daj im w imię Boga, choćby jedną najgrubszą i najgorszą płachetkę, daj koszulinę jakąś i chleba kawaleczek, by z głodu i nędzy nie zmarnieli.

Gniew zabarwił lica kobiety. Wrzasnęła nieprzytomnie:

- Co, ja tym nierobom? Precz mi z oczu dobroczyńco z cudzej pracy i krwawicy! - i rzuciła się z podniesioną ręką w stronę dziadka.

Ale stała się rzecz niezwykła. Ręka kobiety straciła moc, bezwładna opadła wzdłuż ciała a jej przerażonym oczom zamiast dziadka ukazał się teraz Pan Jezus, takusienki sam jak tam w kapliczce na rozdrożu siedział boleściwy, jeno większy jakowyś, stokroć piękniejszy a przejasny. I zabrzmiał głos, który w dzień sądu od człowieka rachunku żądać będzie:

- Błogosławiłem tyle lat pracy twojej, aż zobaczyłem, że wykonałaś ją nie dla miłości innych, choćby dzieci swoich, ale z miłości dla pieniądza. Odjęte ci będzie szczęście, jakie praca dać może. Oto do końca dni swoich będziesz żyła z tego, co liść ludzka do ust ci poda.

Zniknął Pan Jezus, sprawiedliwy sędzia i znawca dusz ludzkich. Popatrzyła kobieta, czy to sen jakiś, czy przywidzenie, ale nie. Rękę ma martwą zupełnie, jak z drzewa. A niedaleko buk dukatami się czerwieni.

- A, niech ta - myśli sobie - może i Pan Jezusek

rzekł dobrze, trzeba mi do tej tam iść i politowanie jakieś uczynić, ale jeszcze poczekam, może wiatr zawieje i kilka tych dukacików mi spadnie.

O, biedne serce ludzkie, które tak trudno zmienić, nawet widoczny cud nie zawsze tego dokonać może! Podeszła baba pod drzewo i rzeczywiście powiał wiatr ostry jakiś, jak smagnięcie biczem. A z drzewa zamiast dukatów liście zlatywać zaczęły, tyle, że nie zielone, jak dotychczas ale purpurowe i złote i takie już zostały na pamiątkę tego wydarzenia. Do dnia dzisiejszego zawsze w jesieni barwią się na drzewach jak klejnoty a złoto.

Zachmurzyła się baba i poszła po swoją bieliznę. Chociaż lewą ręką, bo w prawej nijakiej już nie miała mocy, chciała pozbierać płachty i koszule i zanieść do domu, a niech tam Kaśka już sobie z tym jakoś radzi. Kiedy zgarniała bieliznę do brzegu, nawinął się jakiś strzępek starej koszuli. Kurz kiedyś tym w chacie ścierała, pasek ino a rękawy i nic więcej, reszta same strzępy.

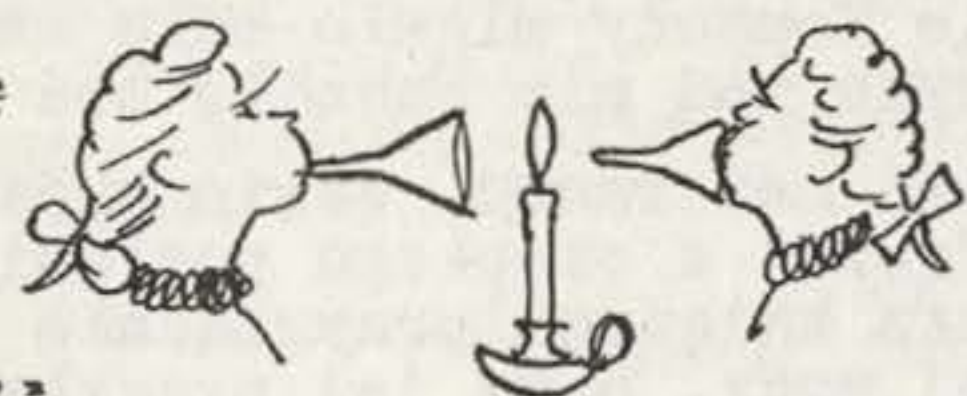
- Oj, doloż moja, dolo! - myśli baba - co za dzień dziś taki. Ale zaniosę tę koszulę tej komornicy, szkoda trochę, bo przydać się może, ale zaniosę. Może mnie Pan Jezus Przenajświętszy chociaż piekłem nie pokaże.

Ale nie zaniosiła. Wiatr, który strząsał liście z drzewa, stał się silniejszy, zakręcił, zaszumił, wyrwał babie ten strzępek koszuli z ręki, poderwał też i resztę bielizny z nad rzeki i poniosł w górę. Z mokrych płacht zrobiły się chmury, a z chmur - śnieg, który jak płachta otulił ziemię i tak co roku czyni, a mróz smaga zimnem, przypominając, że czasem zimniejsze od niego są serca ludzkie.

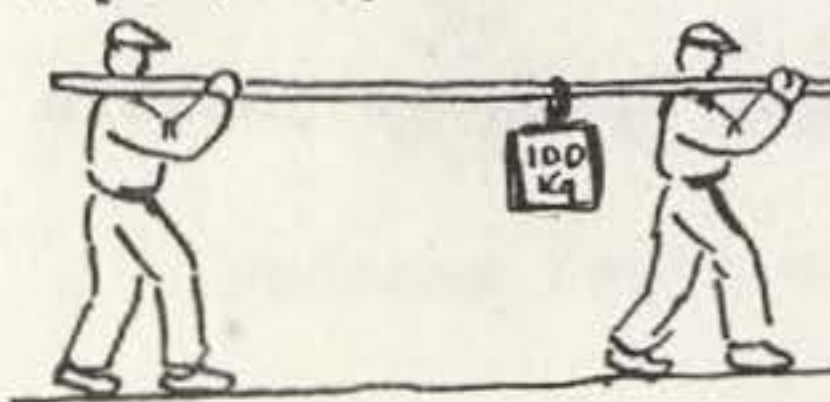
Stanisława Rogalska

CZY UMIESZ MYŚLEĆ NAUKOWO?

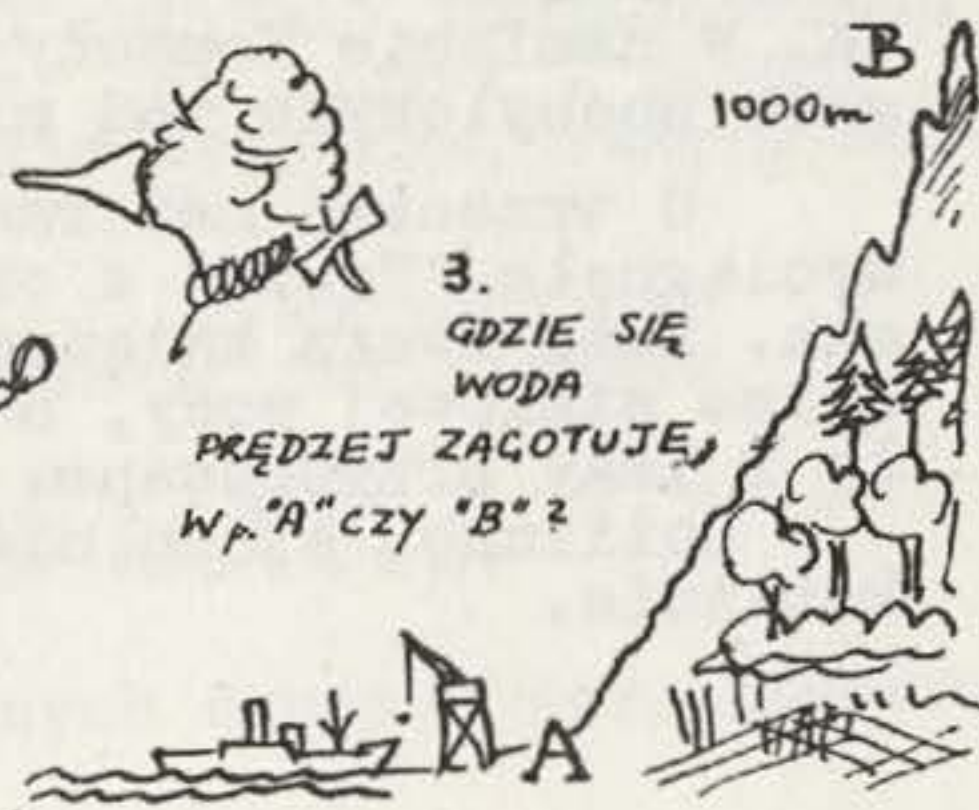
1. KTÓRA LĄTWIJ ZGASI ŚWIECZKĘ?



2. KTÓRY DŹWIGA WIĘKSZY CIĘŻAR?



3. GDZIE SIĘ WODA PRĘDZIEJ ZAGOTUJE, W P. "A" CZY "B"?



Tęcza w skałach



(Wspomnienie z obozu w Kanadzie otrzymałyśmy wraz z listem od Druhny Stohandel, w którym jest prosba: "...dołączcie jedno ogniwo do OGNIW". Dołączać ogniwa będziemy zawsze, tylko je nadsyłajcie!)

Gwizdek oznajmił ciszą nocną. Kilka ciemnych obłoczków bądziło jeszcze długo po niebie. Leniwy księżyc wydrapał się z za horyzontu i oświetlił polaną otoczoną skałami. Sylwetki małych namiotów rzucały wysmukłe cienie.

Przy dogasającym ognisku siedział ktoś jeszcze. Konający płomynek oświecał dwie stroskane twarze, dwa szare mundurki. Milczeniem rozmawiały ze sobą - jeden ich łączy cel, jedno hasło i jednakie troski, połączone z ciężką pracą.

Po licu Marychy popłynęły łzy. Zwiesiła głowę, by ich Wódz nie dostrzegł.

Noc zapaliła już wszystkie gwiazdy - księżyc zawędrował na połowę nieba. Puhacze zmęczone nawoływaniem pousypiały gdzieś na gałęziach. Ognisko przygasło zupełnie.

Marycha wróciła do namiotu. Wiecznie uśmiechnięte i figlarne twarzyczki "Tęczy" były zachmurzone i poprzecinane strużkami łez.

...Druhno, chłopcy składali Przyrzeczenie, a my co? Czyżby dzisiejszy bieg się nie udał wcale? - Ja odnalazłam wszystkie znaki. Może moja kapliczka nieładna?... albo moja tablica rozkazów?... No, niech kto powie, że Latrynki nie fantastyczne?!

Jęknęły płótna namiotowe przepełnione żalną skargą. Marycha wyszła z namiotu. Zaszleściły trącone gałązki i długo jeszcze nie mogły się uspokoić. W namiocie Komendy migało mdle światelko. Kilka głów pochylonych nad nim radziło coś pospiesznie.

O trzeciej nad ranem, seria krótkich gwizdków wyciągnęła "Tęczę" z ciepłego posłania. Noc była cicha. Duża twarz księżyc przyglądała się teraz w lustrze stalowej wody, a za jej przykładem poszły skały i lasy przybrzeżne.

Ciiiicho, cicho, nie zbudźmy śpiącego jeziora w kotlinie.



Po paru minutach wszystkie wiosła zanurzyły się głęboko - na brzegu pozostał jeno szmer trąconej trawy. Ciemność pochłonęła wszystko wokół, tylko igiełki kompasów błyszcząły wytrwale znacząc drogę.

Drugi brzeg jeziora, to skały i duże, wiekowe drzewa. Przymocowano łódki - błysnęło kilka latarek - zatrzeszczały łamane gałązki.

Uroczyste ognisko zdawało się muskać swym jęzorem, mrugające nad sobą - gwiazdy.

"...Wiemy jak trzeba po harcersku żyć!.." odbiło się echem o skały. Pochodnie oświeciły sąsiednie wzgórza, a potem posunęły się wolno w kierunku siedzącej gromadki. Na koniec stanęły dumnie przy ognisku. Twarzyczki płonęły radością.

Ciemność nocy i wszystko dokoła zdawało sobie sprawę z ważności chwili. Fale stanęły nieruchomo. Wietrzyk usiadł grzecznie na świerku, by nie sprawiać szumu swą osobą. Nawet gwiazdki przestały się wdzięczyc do księżyc, bo ten spowaźniał i przybrał wygląd święteczny, uroczysty.

Nastąpiła chwila niezwykłego oczekiwania. Na rozkaz Komendantki płomienie buchnęły raz jeszcze wysoko w niebiosa, a potem rozpięły swe ramiona i uchwyciły w nie i przycisnęły do ognistego serca nowe gorące pochodnie.

Pochylony sztandar nie śmiał ś gnać, gdy słowa... "Mam szczerą wolę..." - padały na jego płótno, wpisując jedną cyferkę, jedno nazwisko więcej.

Łzy szczęścia i radości spływały rosząc świeżo zdobyty Krzyż. Ten przygarnął je, suszył - płonął radością i dumą, choć na takim skromnym, szarym mundurku go przypięto.

Marycha D.
Ottawa, Ont. Kanada.

Ze zbiorów Rodła

Podczas ferii wakacyjnych drużyna koresponden-

cyjna RODŁO w Anglii, organizuje zwykle zbiórkę swoich członkiń.

Zebrane drużyny dostały karteczki z kolorami za pomocą których odszukały listy, napisane alfabetem Morse'a, z informacją, co należy dalej zrobić.

Na stole leżały kartki z rysunkami poszczególnych dzielnic Polski. Trzeba było zgadnąć, jaką dzielnicę dany rysunek przedstawia, wybrać jedną z nich i napisać o niej list do przyjaciółki Włoszki /wymagowanej/, która się żywo Polską interesuje, ale mało o niej wie.

Pisząc wspomniane listy, drużyny posługiwały się odpowiednimi numerami OGNIW.

Po napisaniu listów, drużyny poszły do ogrodu na kilkuminutową obserwację przyrodniczą owadów lub zwierząt. Czarny, domowy kot miał najwięcej zwolenniczek, ale i owady wzbudziły zainteresowanie. Na zakończenie zbiórki drużyny śpiewały piosenki, każda z tej dzielnicy, którą opisywała.



Droga Ludko! Na zbiórce drużyny RODŁO wyciągnęłam kartkę o Mazowszu i stolicy Polski.

Otóż - Mazowsze jest to stara dzielnica Polski. Na północy graniczy z Pojezierzem Pruskim, a na południu z Małopolską.

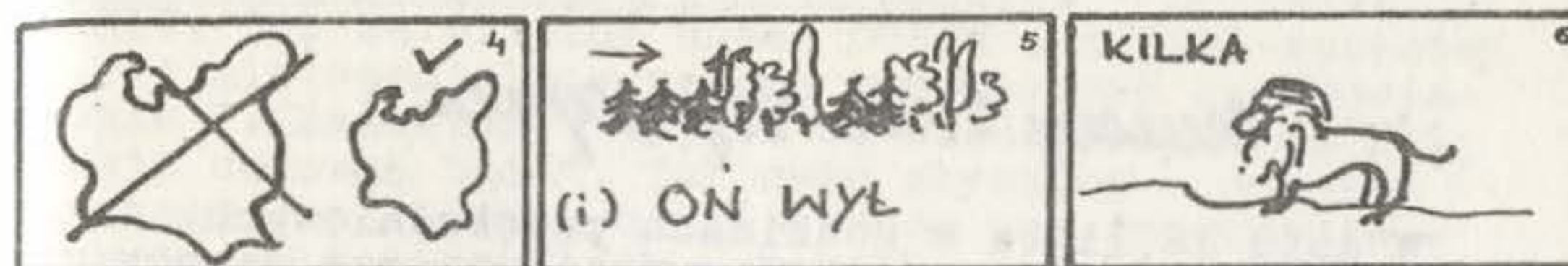
Na Mazowszu jest 94 miast i miasteczek, największa z nich Warszawa jest stolicą Polski.

Warszawa ma w swoim herbie syrenę /pół kobiety, pół ryby/ i przeszła wiele ciężkich chwil. Najazd szwedzki, powstanie Kościuszkowskie, Listopadowe, pogrzeb 5-ciu poległych w 1861r., strajk dzieci szkolnych w 1905 r., przeżyła wielką wojnę światową i oblężenie Warszawy w 1939 r. oraz Powstanie Warszawskie w 1944 r. przeciw Niemcom.

Nigdy się nie ugięła i nie ugnie teraz, gdy jest pod okupacją sowiecką.

Z grup ludności mieszkającej na Mazowszu, wyróżniają się Mazurzy, weseli, energiczni, przedsiębiorczy, Łowiczanie i Kurpie. Ubiór mazurski prawie zaginął, ale łowicki (barwne pasiaki) i kurpiowski (piękne hafty) nadal jest noszony.

Czuwaj! - Drużna Ala.



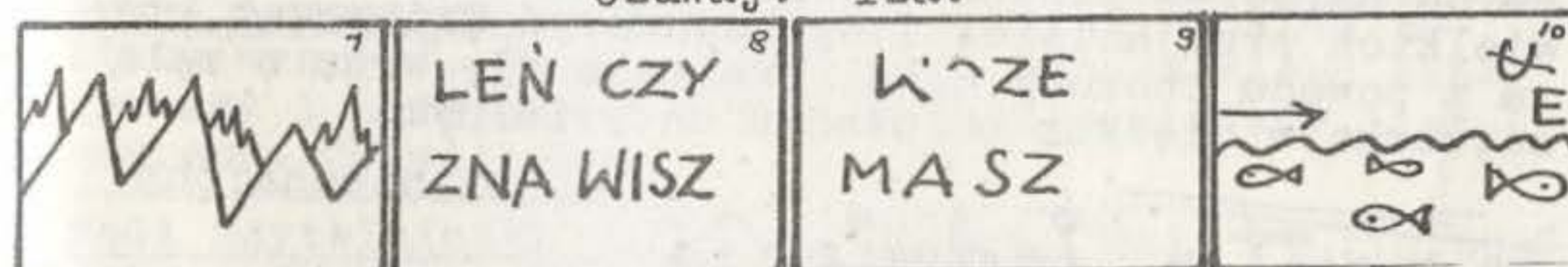
List II.

Kochana Ludko! Na zbiórce dzisiejszej każda z nas musiała przypomnieć sobie coś z literatury danej dzielnicy Polski. Otóż ja - miałam powiedzieć coś o Wołyniu.

Synem ziemi wołyńskiej był Tadeusz Czacki, założyciel liceum krzemienieckiego. Liceum to było silnym ośrodkiem kultury i oświaty. W Krzemieńcu urodził się w 1809 r. wielki poeta, Juliusz Słowacki, o którym napewno słyszałaś. W swoich wierszach będąc na wygnaniu - z tęsknotą miejsce rodzinne wspomina.

Kończę, bo drużynowa czeka na wykonanie dalszego programu zbiórki.

Czuwaj! Iza.



Droga Ludko! Podaję ci kilka wiadomości o Sudetach, bo mnie o nie prosiłaś.

Sudety leżą na południowym zachodzie Polski, na zachód od Krakowa. Największym miastem jest Wrocław. Na obszarze Sudetów znajduje się dużo miasteczek, które istniały jako osiedla jeszcze za słowiańskich czasów. Ludność tamtejsza była bardziej pod wpływami Niemiec, niż gdzieindziej. Teren jest górzysty, malowniczy i urodzajny. Ludność zajmuje się głównie uprawą roli. Więcej szczegółów podam ci w następnym bardziej obszernym liście.

Czuwaj! Kasia.

Drużyna RODŁO miała w programie swojej pracy poznanie poszczególnych dzielnic Polski. Zbiórka więc odbywała się w tym duchu. Prosimy czytelniczki OGNIW, aby wypowiedziały się, co myślą o tej zbiórce, co jej zarzucają a co w niej widzą dobrego i godnego naśladowania. Czy odgadłyście dobrze co te rysunki oznaczają? Od 1-10: stolica, Gdynia, Wielkopolska, Małopolska, Wołyń, Iwów, Karpaty, Wieleńszczyzna, Mazowsze, Pomorze.

Czuwaj! Tu Argentyna

W dniu 18 lipca w godzinach popołudniowych urządzono w Domu Polskim w Buenos Aires przy pomocy Zarządu Okręgu ZHP - wieczorek harcerski połączony z Kominkiem harcerskim. Inicjatorami i organizatorami tej imprezy harcerskiej była 2. Drużyna Harcerek im. Królowej Jadwigi w Buenos Aires, a w szczególności zastęp "Jaskółek". Na program złożyły się popisy harcerek, pieśni harcerskie, loteria fantowa i tańce młodzieży harcerskiej przy muzyce z płyt. Mile spędzony wieczór został zakończony ogniskiem harcerskim i wspólną modlitwą.

Zarząd Okręgu ZHP był reprezentowany przez phm. A. Staniuchę.

Z przyjemnością notujemy, że całkowity dochód z tej imprezy, który kilkakrotnie przewyższył stan majątkowy tej drużyny harcerek, dobre i wdzięczne serca harcerek przeznaczyły na pomoc dla jednej z wielkich przyjaciółek i wychowawczyń dziewcząt, która z powodu choroby męża, znalazła się wraz z małą córeczką w ciężkim położeniu materialnym.

A. Staniucha, phm.

poczta jedzie

P. L. Moczyński, Polonia, Brisbane, Australia. - Redakcja OGNIW otrzymała pismo: "W odpowiedzi na list dziękujemy bardzo za przesłane nam OGNIWA pismo dziewcząt, które nam się bardzo przyda w naszych szkółkach sobotnich." - Cieszymy się, że "Ogniwa" pomogą w tak pięknej pracy w Waszym ośrodku, w którym, jak wiemy wszystkie polskie dzieci są objęte opieką szkółek sobotnich.

Dhna Z. Stohandel, Kanada. - Dziękujemy serdecznie za list i śliczne wspomnienie obozowe. Załatwimy sprawę zawartą w liście, prosimy o dalszy kontakt z nami i wiadomości z waszego życia. Ślemy w imieniu OGNIW najlepsze życzenia w nowym roku pracy harcerskiej. N

Dr. Ludwik Bojczuk, Związek Nauczycieli - Londyn. - Dziękujemy z całego serca za okazaną nam skuteczną pomoc w sprawie uczenia języka ojczystego. Prosimy o stałą pamięć o OGNIWACH.

Wytrwała Czytelniczka OGNIW, Londyn. - Do redakcji OGNIW, "Cóż za śliczny numer OGNIW sierpień-wrzesień b.r.! Ale specjalnie pragnę podziękować za opowiadanie T. Lisiewicz: "Wyjazd do szkoły" oraz za Iki: "Moja cudowna buda". Tak mało słyszymy o dorobku naszego dwudziestolecia i zawsze nas interesuje - jak to było w szkołach polskich. Autorka wspomnianego artykułu może być dumna ze swojej "budy", a czytelniczki szczerze są wdzięczne za barwny i ciekawy opis finansów Bratniaka: Brawo Luck!" - Uznaniem Wytrwałej Czytelniczki (nazwisko i adres znane red.) sprawiło przyjemność obu autorkom a dla redakcji jest naprawdę dużą podniętą do dalszej, trudnej pracy. Dziękujemy!

Dhna Elżbieta Bukowszczyk, Bradford, Anglia. - Pisze: "Czytanie OGNIW sprawia mi wielką przyjemność, dlatego też proszę o przysyłanie OGNIW na wyżej podany adres... Życzę OGNIWOM dalszego powodzenia a Redakcji przesyłam pozdrowienia". - Za list dziękujemy. I za życzenia też!

Phm. A. Staniucha, Komendant Chorągwi Harcerzy, Buenos Aires, Argentyna. - Dziękujemy za list. OGNIWA będziemy wysyłać. Z opisu wieczorku harcerskiego skorzystamy i podajemy w OGNIWACH. Obszerniejszy list wysyłamy. Czuwaj! Red.

UWAGA Czytelniczki OGNIW w Londynie! Dnia 29 listopada br. odbędzie się w sali Westminster Cathedral Hall w Londynie koncert utworów Ludomira Różyckiego - genialnego kompozytora, twórcy współczesnej opery polskiej, autora słynnego baletu "Pan Twardowski". W koncercie udział wezmą wybitni polscy artyści na emigracji. Koncert ma na celu zaznajomić młodzież z bogactwem kultury muzyki współczesnej polskiej.

WYJAŚNIENIA. Do wiersza K. Makuszyńskiego: "Zegary Lwowskie".

"...i o Tatarów zniesieniu" - Jan Trzeci na wzgórzu pod Lwowem ze szczupłą garstką wojska pobił olbrzymie zastępy Turków - stąd miejsce to nazwano Zniesieniem.

"...O Arciszewskim zeń w ciszę wieść leci" - Krzysztof Arciszewski i w Polsce i za granicą wsławiony żołnierz, znakomity artylerzysta, obrońca Lwowa oblężonego przez Kozaków w 1648 r.

Wszystkim, którzy swą pracę ofiarowali w złożeniu numeru listopadowego OGNIW - dziękujemy serdecznie i wnosimy na ich cześć jak i wszystkich Lwowianek i Lwowiaków rozsiadanych po świecie okrzyk harcerski lwowski: Cip, cip ta joj; cip, cip ta joj; ta joj, ta joj, ta joj.

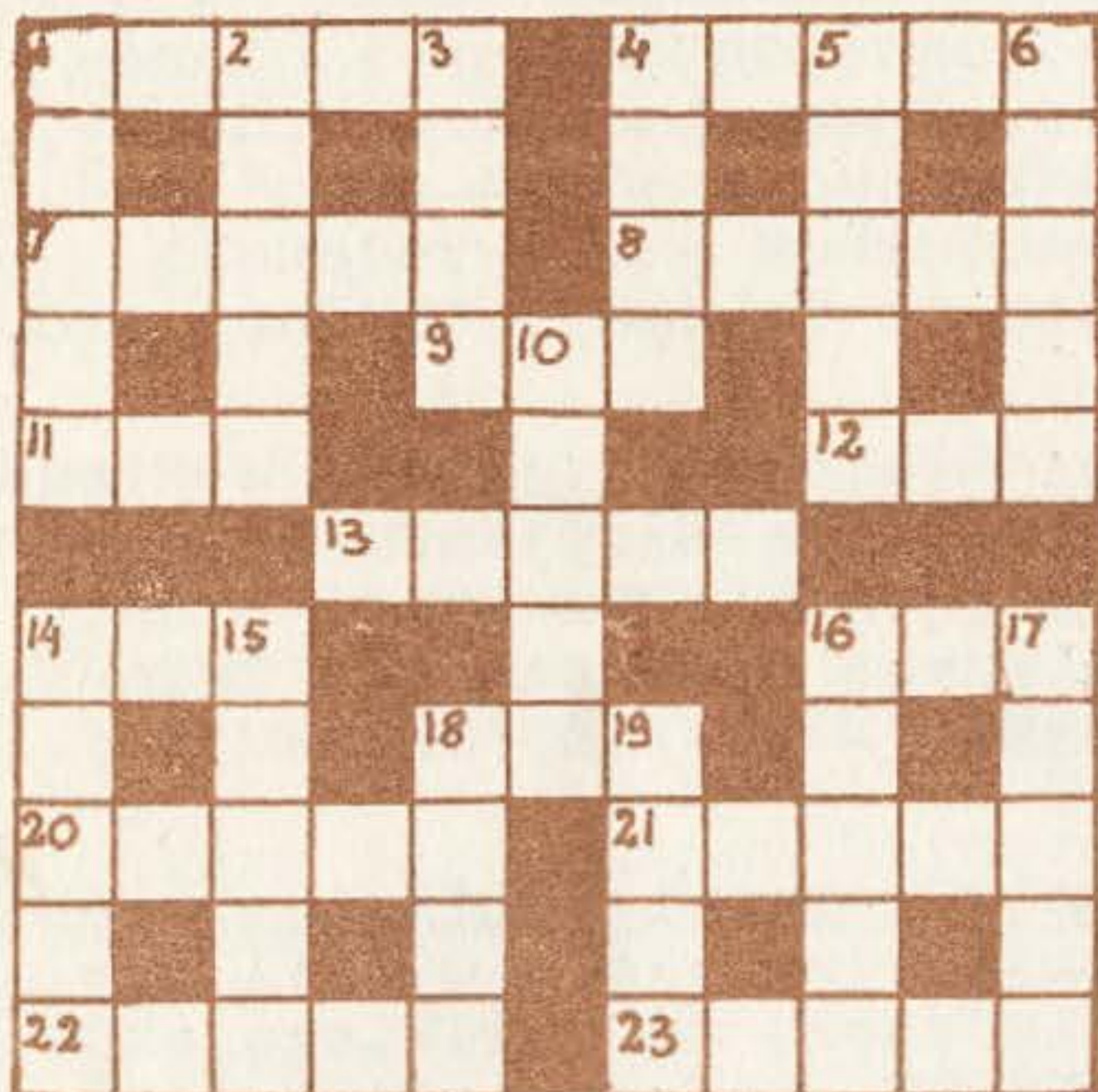
rozrywki umysłowe

Rozwiązanie z poprzedniego numeru:

I. Krzyżówka. Poziomo: Piłsudski, kark, jama, rydz, star, koza, park, socjalizm.

Pionowo: Iza, sęk, dla, kla, Korea, Rodło, mitra, Jurek, Zoo, kij, pal, raz.

I. Krzyżówka (uł. Stella).



Poziomo: 1. część kończyny; 4. Imię męskie; 7. Wykop; 8. Godło chrześcijan; 9. Papuga; 11. liczba; 12. Część koła; 13. Instrument muzyczny; 14. Lody; 16. owad; 18. Zaimek osobowy; 20. Przyrząd radiowy; 21. roślina; 22. Biblijna góra; 23. Gra w karty.
Pionowo: 1. Sposób mówienia; 2. Onnel (czyt. wspak); 3. Izba więzienna; 4. Skrzynia; 5. Godło Polaków; 6. Mały róg; 10. Człowiek-automat; 14. Pieszczota; 15. Lasy

śr. Anglii; 16. Gwóźdź; 17. Kwiat; 18. Styl sukni; 19. rów strzelecki.

Na okładce OGNIW-Widok ze Lwowa -rys. N.

Warunki prenumeraty:

Francja: cena egz. 40 frs. roczna 480 frs. Wpłaty: Mme. Z. Jeziorańska, 26, rue Daubigny, Paris 17-eme.; Argentyna: cena egz. 1,50 peso, rocznie 18 peso. Wpłaty: Libreria Polaca Miecznikowski i Dąbrowski Av. Leandro, N. Alem. 641, Buenos Aires.; Szwecja: cena egz. 1 korona, rocznie 12 koron, Wpłaty: K. Sierczyńska, Södra Kungsvagen 283, Stockholm.; U.S.A. i Kanada rocznie 1,50 dol. Prosimy przesyłać listem poleconym do Anglii.; Wielka Brytania: cena egz. 9 pensów, rocznie 9 shl.; Inne kraje: 1 egz. - 2 międzynarodowe kupony.

Wydaje GŁÓWNA KWATERA HARCEREK POZA GRANICAMI KRAJU.

Redaktorka: Barbara Mękarska

Ilustracje: Irena Bogdanowicz

Administracja: Anna Grabińska

Redakcja i Administracja:

"OGNIWA", 45, Gloucester Rd. London S.W.7



archiwum